

PLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 14 MARCA 1931 ROKU

NR. 11

TREŚĆ NUMERU: Matka dorosłych synów i córek — *M. Benistawska*. Przed premierą — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Pani Gerhardsen i panna Boman — *Sygyda Undset*. Leszek (nowela) — *Władysław Rymkiewicz*. W paryskiej Sofjówce — *Aura Wyleżyńska*. Ś. p. Winifred Cooper — *Julja Kisielewska*. Listy egipskie — *Gabriel Karski*. Niespodzianka, czy umowa — *N. J. Z. teatrów* — *S. P. O. Z. książek* — *Z. M. Kobieta w świecie i w domu*. Nasza Mównica. Bezmyślne okrucieństwa — *Jadwiga Kiewnarska*. Miłość do piłki — *W. Prażmowska*. Nieco o nawożeniu (dok.) — *Stan. Schönfeld*. Wiosenna pielęgnacja roślin doniczkowych — *Wanda Dobrzańska*. „Wykwintne“ podawanie — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Kolorowy dodatek „Mody i roboty“: Modne welny — *Well*. Arkusz wzorów i tablica kroju.

MATKA DOROSŁYCH SYNÓW I CÓREK

Siła nawyku jest olbrzymią potęgą; ma ona swoją wartość dodatnią, gdy mowa o t. zw. *dobrych* przyzwyczajeniach, które stają się drugą — lepszą od tej pierwszej — naturą, a także gdy przez zmechanizowanie, włożenie się, nawet bardzo skomplikowane czynności stają się o wiele łatwiejsze, dają się wykonać prędszej, dokładniej, sprawniej i przy nieskończeniu mniejszym wysiłku, a więc i mniejszym znużeniu. Tutaj wykazuje nawyk swoją wartość oszczędnościową i to nie tylko w wydatku sił fizycznych, lecz również i wysiłku umysłowym, czy moralnym.

Achillesową piętą najlepszych nawyków jest ich inercja, o wiele większa trudność odwykania, niż przywykania. Ustalone przyzwyczajenie ustępuje niezmiernie trudno właśnie dlatego, że, stając się czynnością, czy refleksem mechanicznym, wymyka się z pod kontroli wyższych władz umysłowych. Nawyk powstaje wśród danych warunków, jako najbardziej celowa na nie reakcja wielokrotna; ale gdy warunki się odmienniają, on nie ustępuje i nie zmienia się, choć stracił rację bytu, i wtedy najlepsze przyzwyczajenie stać się może fatalnym nałogiem.

Typowo niebezpiecznymi nałogami są nasze nałogi psychiczne, takie udeptane drożyny myśli i afektów, do których powracamy automatycznie, pomimo że wobec zmian, zaszłych już po ich ustaleniu się, stały się nielogiczne i zbędne, niekiedy nawet destrukcyjne.

Przewartościowania w różnych sferach wymagają znacznego wydatku energii; jeszcze więcej wykspensować jej musimy, aby nabyte nałogi myślowo-uczuciowe doszczętnie zniszczyć i zastąpić nowe-

mi, lepiej przystosowanymi do bieżących warunków życiowych. Bardzo wielu ludzi nie potrafi zdobyć się na zdanie sobie sprawy z konieczności zmiany, ani na jej konsekwentne przeprowadzenie we własnej psychice.

Tłumaczy to nam fakt inny, tak często dający się zaobserwować: fakt psucia się nawet idealnych stosunków pomiędzy matką a dzieckiem, gdy to dziecko — i kochające i kochane — wyjdzie z chłopięcych, czy dziewczęcych lat pierwszego dzieciństwa — gdy podrośnie.

Matka zazwyczaj pierwsza wyczuwa zachwianie swego autorytetu — ją najpierwszą dotyka bunt wyrostka. Dzieje się tak nie dlatego, a zwłaszcza nie jedynie dlatego, że dziecko dorosło do swoich samodzielnych koncepcyj, że przestało być tylko biernym echem otoczenia, lecz właśnie z powodu tak często spotykanego u matek zmanjerowania w swoim wewnętrzny stosunku do dziecka.

Matka zaczęła swe macierzyńskie „urzędowanie“ wobec malej, bezradnej istoty, oddała jej się całą duszą, przerosła swą ingerencją cały byt tego bezgranicznie słabego stworzonka — i już widzi w nim tylko „dzieciątko“, coś swego z krwi, kości, i ducha, nie osobę i nie człowieka. Przy całym swem do dziecka przywiązaniu, czy może przez to przywiązanie, rozproszone na szczegóły i szczegółiki, ona czuje się nieomal wrogo nastawiona wobec tego wszystkiego, co, przekształcając dziecko w chłopaka czy dziewczynkę, a niebawem i w dorosłego człowieka, czyni zarazem zbędnymi jej tysiączne drobne usługi — uniezależnia dziecko.

Gdy doskonała matka-wychowawczyni małego dziecka chce bez zmiany metody prowadzić wyrostka — napotyka trudności i opór nie do przeciężenia. Trudno! — dziecko nie może zrezygnować z tego właśnie, co jest jego najgłębszym pragnieniem, najintensywniejszą tendencją: z prawa do wyrastania na człowieka o swojej własnej, odrębnej jaźni; matka zaś, jak nie dostrzegła tego w pierwszym roku życia dziecięcia, tak nie dostrzega, nie uznaje, nie wyczuwa i teraz.

A chociaż człowiek-matka różni się tak zasadniczo od matek-zwierząt tem, że pozostaje matką na całe życie wobec dorosłego syna czy córki — jednak musi, jednak powinna w każdej epoce życia swego potomstwa stawać się coraz *inną* matką, abdykując z praw jednych, uwalniając się od jednych obowiązków, aby nabywać nowych praw i pełnić nową, zawsze miłosną, chociaż odmienną służbę.

Mówi się dużo o altruizmie, o bezgranicznym poświęceniu matek, jednak i w tem pozornie absolutnem oddaniu się, zaparciu się siebie tkwi pewna doza egoizmu. Matka czuje się jedną nierozdzielną ze swem dzieckiem; kochając to *swoje drugie „ja“*, wpada często w nową formę egoizmu, jeszcze bardziej zachłannego i czelnego egoizmu „dwugłowego“, utajonego pod postacią najszczytniejszego poświęcenia.

Ten egoizm macierzyński w miarę uniezależnienia się dziecka od rodzicielki, w miarę przejawiania się w niem odrębnej osobowości, sprowadza oziębienie i rozluźnienie węzłów wówczas, kiedy prawdziwa głębia czci i przywiązania właśnie powinny powstać. Matka odsuwa się od syna, czy córki, urażona boleśnie: to już nie jest *jej dziecko*, ona sama w drugim wcieleniu; to jest obcy — może już wrogi — człowiek.

Takie oto są narodziny jednego z najboleśniej-szych konfliktów życiowych: jakiś potworny cud szatana, zamiana najszlachetniejszego wina miłości ludzkiej na truciznę wzajemnej niechęci i zażaleń, wiodących do nieuleczalnego rozbratu dwu najbliższych z przyrodzenia istot ludzkich.

Rozbrat ten jest tem boleśniejszy, że matka nie chce, matka nie może odejść. Nie może wewnątrznie pogodzić się z faktem swojej zbędności w życiu swego dziecka. Ona, która przyrosła do tego dziecka duszą, najszlachetniejszym rdzeniem tej duszy i samą jej źrenicą — jakże teraz duszę tę odedrze od syna, czy od córki, stając się dla nich za życia już umarłą?!

Reakcja od strony syna, czy córki bywa zazwyczaj dwojakiego typu: albo, czując, że owa miłość *matki dla swego dziecka* stała się czemś w rodzaju pęt czy kajdan, młody człowiek z bezwzględnością idących naprzód odrzuca je i depce po nich w swym pochodzie; albo „dziecko“ — zwłaszcza

córka, dojrzewająca do koncepcji macierzyńskości, lub faktycznie stająca się matką, jako dorosły człowiek, wpada w konflikt z sobą samym: zachłanna, niewczesna, niedostosowana do dzisiejszego podmiotu miłość matki uwiera, jak przeżytek, dławi, gnębi — ale jednak to miłość i to matka... jakże to precz odrzucić i przywalić kamieniem niepamięci?!

Na tem tle, zwłaszcza w drugim wypadku, kiedy córka lub syn na ostateczne rozejście się duchowe się nie decyduje — powstają nigdy niewygasające wzajemne urazy i zażalenia, zawsze uciążliwe i bolesne dla obu stron, a niekiedy przechodzące w zatajoną, ale typową nienawiść.

Łatwe, a przynajmniej możliwe było uniknięcie tego bezdna cierpienia przez mądry autokrytycyzm, zastosowany od początku do własnych uczuć macierzyńskich, aby z nich wypłenić kąkol zacząjonego egoizmu; nie pozwolić zwyrodnąć w typową miłość dla „mojego dziecka“, już niezdolną przetworzyć się na miłość dla odrębnego i dorosłego człowieka.

Ilekróć myślę o tej tragedji rozbratu dwu pokoleń — matki i jej „niewdzięcznych“ dzieci — przypomina mi się pewna, już całkiem zdziecinniała staruszka, która żaliła się przedemną na swoją przeszło siedmiesięcioletnią córkę: „Dziwna rzecz! ta Stasiunia była takim dobrem, posłusznym dzieckiem, a teraz całkiem mnie nie słucha!“ — Tu przecież mamy — tylko w naiwnym przejawieniu — ten sam fakt niedostosowania się psychicznego do zmienionych warunków życia.

Ludzie psychicznie starzy — choćby i nie zdziecinniali, jak moja blisko wiekowa przyjaciółka — którzy już nie są zdolni do wyjścia poza swój depczak utartych myśli i afektów, oczywiście dożyć muszą do końca w swoim bolesnym poczuciu osamotnienia, dla którego żądać można tylko wyrozumiałości otoczenia i cierpliwiej względności, jaką się ma wobec nieuleczalnych chorób. Ale kobiety, wchodzące w życie, czerpać stąd powinny naukę, jak ustrzec same siebie od podobnego losu, który, wbrew utartym poglądom, wcale nie jest nieuniknionym atrybutem późnego wieku.

Obok starych lub starzejących się matek zawiedzionych, oskarżających swe dzieci o niewdzięczność i samotnych, znamy przecież i typ — o wiele rzadszy, prawda — sędziwej matki, do końca czczonej patronki i najlepszej przyjaciółki swoich dorosłych córek i synów. To te, które w małym dziecku umiały dostrzec i uszanować człowieka; to te, które swoją miłość macierzyńską kultywowały z umiarem krytycyzmu, które ją uczyniły chemicznie czystą, wolną od zakażeń egoistycznych; które nie zmanjerowały się, ani się zatrzymały w swym wewnętrznym rozwoju, rosnąc wzwyż i doskonałając się do końca życia.

M. Benistarska.



PRZED PREMJERĄ

(wywiad z Zofją Nałkowską)

Już tylko niewiele dni zostało do premjery „Dnia jego powrotu”. Najodpowiedniejsza chwila do chwycenia na gorącym uczynku wrażeń, nadziei i obaw autorki. Krótka wymiana telefonów i oto jestem na progu jej pracowni.

Ale cóż to? Nie poznaję wczorajszej Nałkowskiej. Stoi oto przede mną kobieta-niepokój, kobieta-oczekiwanie, akumulator, tętniący pulsem nagromadzonych prądów, chmura, wstrząsana dreszczem ukrytych błyskawic.

Zanim padły pomiędzy nami urzędowe pytania i odpowiedzi formalnego wywiadu, zanim zdążyłyśmy przywdziać maski oficjalne, Nałkowska daje mi do przejrzenia jedną ze scen swej sztuki.

Znajduję się odrazu w atmosferze wysokiego napięcia. Zawirowały w powietrzu mgławice: dla mnie obce i nieznane, dla niej bliskie i własne. Twarze trzech mężczyzn i dwu kobiet, rozgrywających pomiędzy sobą tragiczną partję „Dnia jego powrotu”.

Rozumiem. Nałkowska nie widzi mnie. Cała jest z nimi, przy nich i w nich. Myśli ich mózgiem, kocha ich sercem, cierpi ich nerwami. Żyje za nich, zwielokrotniona ich istnieniem, zamknięta w trzech ścianach bliskiej już realizacji scenicznej.

Wreszcie z ust moich pada samorzutne pytanie, raczej głos instynktu, niż programowy punkt zaważanego przewidzianego dialogu:

— A więc teatr tak bardzo Panią pochłania?

Nałkowska żywo unosi głowę, jakby tym ruchem chciała odegnać natrętne wizje.

— Istotnie, teatr pociąga mnie najsilniej w tej chwili. Urokiem jego jest skrót, jest skondensowanie, skupienie zagadnienia w jednym miejscu. Technika dramatyczna daje daleko ostrzejszy przekrój rzeczywistości, niż proza. Mam wrażenie, że, gdy powrócę do zamierzonej przeze mnie powieści, którą praca nad „Dniem jego powrotu” odsunęła na plan dalszy, będę ją pisała zupełnie inaczej, niż dawniejsze moje rzeczy. Bowiem i w zakresie techniki powieściowej dramat stworzył przede mną nowe możliwości.

— A czy pamięta Pani moment, w którym powstał pomysł „Dnia jego powrotu”?

— Doskonale pamiętam. To było w maju ubiegłego roku. Pojechałam wówczas do Krakowa na premjerę „Domu Kobiet”. Byłam otoczona atmosferą wyjątkowo miłą i przyjazną. Był to okres, w którym snuły mi się po głowie pomysły nowego dramatu, ale odrzucałam wszystkie. Aż nagle zjawiał się ten, na który odrazu przystałam.

— A jego źródło, jego geneza?

— Niewątpliwie urodził się on z refleksji i rozmyślań nad fenomenem zbrodni, nad jej naturą i odgałęzieniami w życiu moralnym i uczuciowym osób, związanych z przestępcą. Różne kwalifikacje i aspekty zbrodni nie są tam jednak tematem rozważań teoretycznych. Widzenie zbrodni zależne jest od charak-

terów i namiętności osób działających. Takim przynajmniej było moje zamierzenie.

W związku z tem występuje natura przebaczenia i jego wartość moralna, a także wartość skruchy, która jest bezsilna wobec rzeczywistości.

— Czy może mi Pani bliżej wyjaśnić, z jakiego punktu widzenia potraktowany jest w dramacie problem przebaczenia i skruchy?

— Z punktu widzenia nieodwracalności zbrodni. Zbrodnia, raz popełniona, nie może być cofnięta, choćby zbrodniarzowi cały świat przebaczył. A samo przebaczenie? Czyż nie jest ono poniekąd, w znaczeniu moralnym, wzięciem na siebie współodpowiedzialności za popełnioną zbrodnię? I czyż ono, zarówno jak skrucha, w czemkolwiek zmienia, lub łagodzi życiowe konsekwencje zbrodni?

— Czy „Dzień jego powrotu” rozstrzyga to zagadnienie w sensie zupełnie wyraźnym?

— Nie ważyłabym się nigdy dawać takiego rozwiązania. W problemacie tym przecież tkwi splot tylu nierozwiązalnych zagadnień filozoficznych i moralnych. Jest to jakgdyby miejsce, w którym się one tylko bardziej naocznie uwydatniają.

— A czy niezależnie od tego ideowego rdzenia, lub łącznie z nim, występują w dramacie jeszcze jakieś inne motywy?

— Jednym z takich motywów jest rola zła, jako siły pociągającej, jego fascynacja; zło, które skuwa ludzi wbrew ich woli, często wbrew ich wiedzy. Wreszcie rola, jaką cierpienie odgrywa we wzmożeniu miłości.

— Na jakim tle dokonywa się to wzmożenie miłości przez cierpienie u bohaterów „Dnia jego powrotu”?

— Na tle tej niezbitej prawdy, że jeden człowiek jest dla drugiego zupełnie wystarczającym powodem do cierpienia. Inaczej mówiąc, każdy człowiek nosi w sobie gotowe złoza cierpienia dla drugiego człowieka. Może nie popełnić niczego złego, ale już to samo, że nie jest takim, jakim go chciałby mieć ten drugi, kochający człowiek, wystarcza, aby się stał dla niego źródłem nieustannej udręki.

Te prawdy nie są w sztuce wysunięte, jako tezy, one prosto wynikają z psychologicznych konfliktów osób działających.

— A teraz pytanie ostatnie. Jakie są Pani nadzieje, a jakie obawy, związane z realizacją sceniczną „Dnia jego powrotu”?

— Chciałabym wierzyć, że sztuka ta wywrze właśnie to wrażenie, o jakie mi chodziło. Gdy pisałam „Dom Kobiet”, szłam poomacku, nie wiedząc zupełnie, jak wypadnie realizacja sceniczna tej sztuki. Miałam sposobność ujrzeć ją później w całym szeregu ujęć reżyserskich i na różnych poziomach wykonania aktorskiego i to dało mi złudzenie, jakgdybym zdobyła też i doświadczenie dostateczne. Obawy? obawiać się muszę, oczywiście, czy to moje wrażenie jest trafne.

Stefanja Podhorska-Okolón.



SYGRYDA UNDSSET

PANI GERHARSDSEN I PANNA BOMAN

(Z książki: *Pani Hjelde*)

Z upoważnienia autorki przełożyła Marja Kuncemiczowa.

Po piaszczystym placyku przed restauracją parkową spacerowały dziewczynki Uni, prowadząc między żelaznymi stolikami krzywonożą Tullę pani Gerhardsenowej.

— Nie zrobiło się pani słabo, pani Hjelde? Tak długo pani nie było, że mnie aż strach wziął! Nie, te krzeselka strasznie są niewygodne, niech pani lepiej siada na ławce.

— Mamec ciągle mi uciekał, nie mogłam dojść z nim do ładu — wytłumaczyła Uni rozdrażnionym tonem. Zatraskane szeptami pani Gerhardsenowej zawsze wywoływały w niej irytację.

— Ach, moje biedactwo, zmęczyła się pani okropnie; jeszcze i pod górę... dla pani... w takim stanie...

— Mamo — oświadczyła Nora — popatrz: mam o wiele więcej przylaszczek od Karen Ingi...

— Tak; bo najwycyżajniej w świecie poleciałś sobie, a ja sama musiałam niańczyć się z Tullą.

— Ach, nie kłóćcie się, dzieci!

Pani Gerhardsen wypakowała zawartość swego koszyka:

— Czy Lasse nie napiłby się trochę mleka? Tulla nie da rady wszystkiemu.

— Nie, ja chcę limonjady! — wrzasnął chłopczyk, chwytając flaszkę, którą kelnerka stawiała właśnie na stole.

Pani Gerhardsen nalala kawę w dwie filiżanki:

— Proszę, pani Hjelde... Musi pani raz spróbować mego ciasta... Od Rolfsena; ja zawsze bardzo uważam, co kupuję, żeby Tulla wkońcu nie musiała chorować. No, chodźcie, dzieciaki! Chodź, Lasse! Ach, Boże, jakież to miłe, te baki! I jak jest rozkosznie, doprawdy, oddychać świeżym powietrzem!

Natarczywie wpierała w Uni swoje łagodne, czerwono-brązowe oczy.

To prawda. Nieszczęsna Para! Należała się jej odrobina świeżego powietrza! Dniem i nocą zginęła przecież wążutkie piersi nad szyciem...

W tym czasie Uni łatwo płakała — przygnębienie wyzwalało się w bezgranicznej litości, gdy tak patrzyła na małeńką, zawiędlą paniusię z chuderlawym dzieckiem na łonie.

Para — Gaspara Hansen — od niepamiętnych lat była garderobianą w miejskim teatrze. Uni zastała ją tam, już jako zasłużoną pracownicę. Zaczne stworzenie zadurzyło się z punktu w młodej aktoreczce. Z fanatycznym zapałem oddawała jej niezliczone drobne przysługi, żywiąc pokorną wdzięczność za poślizgi do siebie stosunek. Później, kiedy Uni wróciła do teatru, jako mężatka, ubóstwienie zostało przeniesione na dwie „przecudne, rozkoszne“ córeczki pani Kirsch Hjelde. Zresztą pocziwina uwielbiała całe potomstwo aktorskie, będąc wogóle zapamiętałą miłośniczką dzieci.

Karen Inga w pierwszych latach swego życia zwróciła raz w Zoologicznym Ogrodzie uwagę swojej matki na podobieństwo między wielbłądem, a panną Hansen z „tewlatlu“. Spostrzeżenie było trafne: Para — ze swemi czułymi kaprawami oczkami, z płaskim nosem o wielkich dziurkach, z wystającą szczęką — istotnie przypominała wielbłąda. Pozatem: pra-

wie nie posiadała warg; zaś ku cierpliwie zaciśniętym ustom zbiegały się prostopadle przeliczne zmarszczki. Para wiecznie plotła o tysiącu spraw cudzych — o własnych milczała zawzięcie. Nie narzekała nigdy; mimo to Uni nie wątpiła, że życie Gaspary Hansen należało do zadań mozolnych; zwłaszcza, odkąd przestoczyła się w panią Gerhardsen.

Jegomość był duńskim muzykiem; conajmniej o piętnaście lat młodszym od żony. Para mówiła o nim niezmiennie: jest dobry, jest jaknajlepszy. Jednak wszyscy wiedzieli, że małżeństwo pogłębiło niedolę podstarzałej paniusi. Jej usta stały się bardziej jeszcze skryte i cierpliwe; prostopadle zmarszczki jeszcze liczniejsze i głębsze. W każdym razie Gerhardsen nie mógł, czy nie chciał, utrzymać małżonki; grywał tu i owdzie po kawiarniach, po kinach — tymczasem Para pracowała dalej w garderobie.

Mieszkali przy Filerstrasse, o kilka domów od rodziny Hjelde. I pewnego wieczoru, półtora roku temu, pani Gerhardsen przyszła do Uni ze swoim niemowlęciem — złamana z rozpacz. Pracowali wszak wieczorami oboje poza domem — zarówno „tatuś“, jak ona. Kobieta, wynajmująca im pokój, miała uważać na dziecko. Otóż dzisiaj pani Gerhardsen nagle odkryła, że kobieta wychodzi również, pozostawiając małeństwo same! Niechby tak pożar, albo coś w tym rodzaju! Wynikło stąd, że małe nieboractwo spędzało odtąd wiele wieczorów w wysłużonym wózeczku dziecinnym eks-aktorki. Później Para rzuciła garderobę, wdawszy się natomiast w krawiectwo. Oba pokoje od ulicy wynajęła, sama zaś dzień w dzień siadywała teraz, zgięta w kabłąk, w wielkiej, ciemnej stancji od podwórza: przed sobą — robota, przy sobie — córka.

Otóż właśnie — Para posiadała teraz przynajmniej Tullę! Uni myślała dawniej, że w tym wieku nie miewa się już dzieci. Jednak los obdarował przekwitłą babinę małeńkim stworzeniem, węższym od chrabaszca.

Tulla siedząca sztywno na kolanach matki, wyglądała, jak lalka — w swoim czerwonym płaszczyku pluszowym. Twarzyczka bez koloru — jedynie wokół łazurowych oczek czerwone obwódki; usta białe, miejscami powalane czekoladą, rączki i nóżki krzywe od angielskiej choroby.

— Ale jak pysznie Tulla umie już biegać — rzekła Uni — jak dobrze teraz wygląda...

— Gdyby tylko można było częściej z nią wychodzić — westchnęła Pani Gerhardsen — powinna by wiele przebywać na powietrzu, tak doktor powiedział; ale niańce nie powierzyłabym nigdy mojej kruszynki!

— W lecie musi mi pani dawać małą do parku; mogę doskonale, skoro i tak mam tu siedzieć z Lassem i z wózkiem, uważać także i na Tullę.

— Ach, to pani i w tym roku nie wybiera się na wieś? Po tej przeprawie, uważam, że powinnaby pani koniecznie wyjechać.

— Ależ tatuś powiedział zeszłej jesieni, że na te wakacje stanowczo wyjedziemy — jęknęła Nora.

— Tatuś powiedział: może. Czy nie zdejmie pani kapturka małej? Szkoda byłoby zalać mlekiem

takie piękne wstążki. Tak pani zawsze ślicznie ubiera córeczkę! Doprawdy, ja się wstydzę za moje obdarty... — Pani Gerhardsen objęła wzrokiem troje dzieci młodej przyjaciółki, poczem twarz jej wydała się jeszcze cokolwiek bardziej pomarszczona i zwiędła.

— Zdrowe, świeże dzieci, jak te, zawsze szybciej niszczą ubrania. I ostatecznie nie jest to takie bardzo ważne, czy wyglądają strojnje. Jeżeli tylko mają zdrowe minki, zawsze uchodzić będą za piękne. Należy, zdaniem mojem, czuć wdzięczność dla Stwórcy, kiedy dzieci rozwijają się i są zdrowe — mówiła cicho krawcowa, utkwivszy wzrok w ziemi.

— Tak, to prawda — przytwardziła Uni. Delikatny rumieniec zabarwił jej żółtawe policzki.

W tramwaju siedziały dwie młode damy; gapiły się na Uni, szepcząc między sobą. „Aktorka“ — rzekła jedna z nich. Nora zanudzała matkę gwóździem w podeszwie: uwierał. Lasse na kolanach Uni wkrótce osunął się i wiele było roboty z utrzymaniem jego stóp w przyzwoitej odległości od jedwabnego płaszczka sąsiadki.

Karen Inga tkwiła naprzeciwko matki — wyprostowana i ładna ze swoją poważną, godną twarzą. Pani Gerhardsen — skulona — trzymała w objęciu śpiącą Tullę.

— Dziękuję serdecznie za dzisiejszy dzień — było doprawdy cudownie. Ale, prawda... Muszę przecież jeszcze opowiedzieć pani...

Zawsze tak było, że Para, pożegnawszy się, przypominała sobie natychmiast niezliczone historie, które należało jeszcze zakomunikować. Panią Hjelde bolało w boku i w krzyżach; chodzić, owszem, mogła, ale stanie męczyło ją nad wyraz. Lasse ciągnął ją za rękę. Nora jęczała o gwóźdź; natomiast Karen Inga przywarowała spokojnie na stopniu mleczarni, porządkując swoje kwiaty.

No, i w końcu pani Gerhardsen pożegnała się na dobre.

Uni odryglowała puste mieszkanie — Krystjan jeszcze nie wrócił z biura, zaś służąca miała wychodnią. Zaledwie jednak pani domu stąpnęła na próg kuchni, otwarły się jakieś drzwi w głębi i panna Boman, która odnajmowała czwarty pokój, przyszła nabrać wody do dzbanka. Uni wstawiła rondel na kuchenkę gazową, wołając jednocześnie poprzez korytarz:

— Nora, bądź tak dobra, nakryj do stołu; a Karen Inga niech zaściele tapczan.

— Muszę najpierw skończyć z kwiatami, mamusiu.

— Jakże to tak można? — rozbrzmiał ze stołowego pokoju energiczny głos panny Boman. — Za moich czasów małe dziewczynki „najpierw“ robiły, co mamusia kazała.

To, oczywiście, powinnam była ja sama zaraz powiedzieć — pomyślała gorliwie Uni. — Ale nie mogę; jestem zmęczona, strasznie zmęczona... Zawsze mi to dziecko tak odetnie! Zupełnie nie umiem sobie z nią dać rady...

— No, i naspacerowaliście się — zawołała panna Boman, nie przerywając wędrówek po korytarzu. — Jakże ja się zawsze cieszę, ile razy pani wyjdzie i odetchnie trochę! Wszystkim wam to dobrze robi...

— Chwała Bogu, Bomanówna wybiera się gdzieś, ma na sobie jedwabną suknię — westchnęła Uni w skrytości ducha, skoro lokatorka odeszła z kubłem i z dzbanem. Dzisiejszego wieczoru gospodyni nie była skłonna do wysłuchiwanie nieskończonej paplalniny, a i czasu nie miała także. Zresztą czasu nie

miała nigdy. Zawsze to przeszkadzało straszliwie, kiedy panna Boman stawała w otwartych drzwiach i gadała... gadała... Z tych wynurzeń nie wynikały, zaiste, żadne rewelacje, a nadmiar klęski dobra dusza zapominała, że trzyma w ręku naczynie, pełne wody, potrząsała niem zapalczywie i — po skończonej rozmowie — zostawało na podłodze istne morze. Mimo wszystko powyższe, Uni uważała lokatorkę za poکرzepiający element swego życia.

Bóg raczy wiedzieć, jak ona to robi, żeby być taką — medytowała, zatopiona w matowym podziwiewie, podczas gdy panna Boman nikła wraz z kubłami w czeluściach swego pokoju. Już dwadzieścia sześć lat kręci się tak oto między składem towarów włókienniczych, gdzie jest buchalterką, a pensjonatem, czy pokojem umeblowanym. I najprawdopodobniej przez cały czas działa ożywczo na wszystkich, z którymi ma do czynienia. To znaczy... przed laty dwudziestu przeżyła pewien mroczny okres — zaraz pierwszego wieczoru po wniesieniu się do Hjeldów zwierzyła się z tem Uni, pokazując dużą fotografię gabinetowego formatu w błyszczących ramach. To był On, chłopak z tego samego, co i ona, nadmorskiego miasteczka, narzeczony od dnia konfirmacji. Na pół roku przed datą ślubu zatonął okręt handlowy, na którym młodzieniec był sternikiem; jedna mysz nawet nie ocalała...

— Myślałam, że rozum stracę — mówiła panna Boman — ale niech mi pani wierzy, pani Hjelde, wtenczas poznałam, jakim dobrodziejstwem jest praca. Bo musiałam przecież jakoś wytrzymać na posadzie... Nie miałam nikogo, do kogoby pójść, poza siostrami. A one wszystkie były zamężne i dosyć już skłopotane. Nie mogę powiedzieć, żebym za czasów mojej młodości przepadała za zajęciem biurowym, to jednak, że nie zwarjowałam, mam całkowiec do zawdzięczenia posadzie. Bo przecież musiałam jakoś wziąć się w garść i przetrzymać. Tak; nie boję się tego powiedzieć: każda praca, każda jest błogosławieństwem.

Zażywała zatem błogosławieństwa od 9-ej do 2-ej i od 4-ej do 7-ej każdego dnia powszedniego przez okrągły rok; poza tem — co chwila odrabiała pobiurowki. Owszem, przysługiwały jej dwa tygodnie urlopu letniego, spędzała je niezmiennie na podgórzu Jutunheimskiem. Pensja panny Boman nie była wspaniała, jak na obecne stosunki.

— W tych czasach, kiedy zaczynałam pracę — mawiała zacna buchalterka — uważałyśmy 40 koron za bardzo dobre wynagrodzenie. A ten biedny Sørensen znajduje zapewne, że 130, które dziś dostaję, to jest dużo dla samotnej kobiety. Ale był dla mnie zawsze bardzo uprzejmym szefem... Mogłabym sto razy znaleźć sobie lepsze miejsce, pani chyba wie, uważam jednak, że jestem to jemu winna, żeby tam siedzieć u niego. Z nową nie doszedłby do ładu; jakie bo one stawiają wymagania!... I wogóle... Ach, nie! już ja zostanę u Sørenseny do śmierci, albo dopóki sił do roboty nie stracę...

Przy tych ostatnich słowach oczy Henryki Boman nabierały zazwyczaj wyrazu przerażenia, ile że osoba ta, poza tysiącem i trzystu koronami, zaoszczędzonymi w Banku, nie posiadała żadnej innej rezerwy.

— Jednak, pani rozumie, w magazynie włókienniczym ma się mnóstwo dogodności — dodawała natychmiast w takim tonie, jakgdyby sobie samej pragnęła dodać otuchy.

„Dogodności“ polegały na okazjach taniego kupna, zarówno we „własnym“ sklepie, jak i w tych wszystkich niezliczonych firmach, gdzie pra-

cowaly tłumy przyjaciółek. Panna Boman wkładała nieopisany zapal w dostarczanie „dogodnych okazji” swojej gospodyni. Pieniła się poprostu od wskazówek w sprawie wyprzedaży, pokazów i próbek.

— Już ja się postaram, żeby pani dostała mój rabat; tylko, broń Boże, nie mówić nikomu! Bo właściwie rzecz nie jest w porządku. Ale pani wie: dla mnie to taka przyjemność móc się pani przysłużyć, chociażby w drobnostkach! Pani jest przecież dla mnie tak szalenie miła i dobra, jestem doprawdy stale zawstydzona pani dobrocią.

Uni nie uświadamiała sobie zupełnie, co miano-

wicie i kiedy uczyniła dla panny Boman, pozatem, że wysłuchiwała cierpliwie zwierzeń, oraz od czasu do czasu pożyczła filiżanek i łyżeczek dla gości. Ale panna Boman zawsze już tak ugiwała się pod niezliczonymi dobrodziejstwami i nieopisaną szlachetnością swoich znajomych.

Że ona nie wyszła zamaż — o, to jest prawdziwa szkoda — myślała sobie Uni, podczas gdy lokatorka stała w progu, pryskając na wszystkie strony wdzięcznością z serca i wodą ze dzbanów, zaś jej gospodyni dobijała z trudem do krawędzi dnia, pełnego trosk, irytacji, pracy i niepokoju.

LESZEK

Novela.

2)

Ginąc z bólu, jęknął cicho. Ponura możliwość spisku narzucała się nieodparcie myślom, osaczonym przez osobliwe, znaczące fakty dziwnego zachowania się Leszka.

Co jakiś czas, wieczorami, wymykał się skrycie z domu. Na pytania: „gdzie był?...” „co robił?...” — dawał odpowiedzi mętne i wymijające, lub zgoła nie odpowiadał. Chmurny i obcy, trwał w upartym milczeniu, jakgdyby kryjąc w sercu jakąś złowieszczą tajemnicę. Dawno już nie był taki małomówny, skryty i niedostępny, jak teraz właśnie. Ukrywał się z czemś!... Ukrywał coś przed własnym ojcem!...

Sędzia gwałtownym ruchem uwolnił głowę z fałd pluszowej draperji. Dusił się. Oddychał długo, jak po ciężkiej walce. Szary mrók zasnuł gęstym cieniem wnętrze mieszkania. Z sąsiedniego pokoju ozwał się zegar: dziewięć niskich uderzeń, jak ponure szczęknięcia gongu, rozbrzmiało w grobowej pustce dookolnej i ciszy.

Sędzia wystąpił na środek pokoju i z opuszczonymi ramionami i zwieszoną głową zatrzymał się tam nagle, jakgdyby przed jakąś niewidoczną przeszkodą.

Straszydło samotności wionęło z kąta przejmującym dreszczem zimna.

Tedy wycofał się z pokoju, szukając w ucieczce ratunku przed straszliwą zmorą osamotnienia. Po drodze, w korytarzu, zdjął machinalnie z wieszaka palto i kapelusz.

Ocknął się na ulicy w chłodnym, rzęsimym deszczu. Uczuł znów serce, tłukące się gwałtownie w pierś, uczuł niemoc, ogarniającą go od głowy do nóg. Rękę przyłożył do piersi, jakgdyby chcąc powstrzymać gwałtowny napór serca, i przez chwilę stał na ulicy — dla nabrania sił, dla zaczerpnięcia oddechu. Poczem, drętwy z bólu, udał się miarowym krokiem do Eysbunttów...

Podniósłszy kołnierz palta, kroczył powoli, chroniąc się pod ścianami domów przed deszczem. Monotonny szmer i plusk siepiącej ulewy uciszały wzburzoną myśl i niosły kojące, senne zamroczenie.

Zatrzymał się u wiadomej bramy; była, jak wnętrze wielkiej piwnicy grobowej z kamienia i tęgą, chłodną wilgocią. Po krótkim namyśle przeszedł na podwórze, ciemne i głębokie, niby studnia o siedmiu piętrach.

W szeregu okien na parterze odnalazł oświetlone okno u Eysbunttów... Powitał je głuchym jękiem bolesnego triumfu. Chyłkiem sunął ku pobliskiej sieni.

Oparłszy się o ścianę, trwał z zamkniętymi oczyma, oddychając z trudem.

Nie śmiał otworzyć oczu w obawie, żeby nie ujrzeć znów, po raz drugi straszliwego koszmaru... Chciał uwierzyć, że to — koszmar... Ten nieznośny, utrapiony chłopak był pewnie gdzieś w kabarecie, na dancingu, czy u kochanki, i dlatego ukrywał się z tem przed ojcem... — Bodajby był gdziebądź, byle nie tutaj...

Otworzył oczy, spojrzął nanowo w tamte okno, napół przytomnie, jak człowiek wytracony ze snu.

Naga rzeczywistość dawała świadectwo nieublaganej prawdzie: Leszek był u matki!... Przez szyby, zroszone łzami deszczu, skroś przejrzyście mgłę firanek można go tam było widzieć w pokoju, w domu obcego człowieka. Siedział przy stole, obok Martynki, swojej siostry przyrodniej; opuszczona nisko nad stołem lampa pod szafirowym abażurem kładła świetlistą aurę na ich głowy, niecąc błyski w czarnej, połyskującej kruczo czuprynie dziewczyny i w zloci- stych włosach chłopca.

Opodal nich, w omroczonej perłowym cieniem wnęce pokoju królowała, rozrzucona z niedbałym wdziękiem na sofie, w gnieździe jedwabnych poduszek, z papierosem w ręku ta, co zrabowała szczęście...

Złopiękna, uśmiechała się do Leszka, który opowiadał coś z radosnym zapalem, gestykulując żywo.

Sędzia wpatrywał się z wyteżoną uwagą w syna. Nigdy jeszcze w swoim domu nie widział go takim, jak w tej chwili. Nigdy nie widział go uśmiechniętym. Mogło się zdawać, że ten przewrotny chłopak ma dwie twarze: jedną dla ojca, jak dla wroga — chmurną i ponurą, a drugą dla matki, niby dla swego dobrego anioła — uśmiechniętą i natchnioną szczęściem.

Otóż wstał powoli od stołu, cichy i radosny, przysiadł na sofie obok matki. Objęła go syrenim ruchem nagiego ramienia, przygarnęła do siebie i nagłymi pocałunkami okryła jego czoło, oczy, policzki, usta.

Sędzia zwinął się wpół pod ukąszeniem zazdrości, pochylił głowę, żeby nie patrzeć. Zawisć rozjaźniła w sercu wszystkie rozpacze. Było tak, jak kiedyś, gdy w jego oczach rabowali, niszczyli dom ojcowski i mordowali rodzinę.

Teraz uczuł się obrabowany z samego życia. Syna tracił...

Odeszły go wszystkie siły. Ugięty pod brzemie-

niem nieszczęścia, trwał długo bez ruchu, skurczony, jak pokutnik, we włosienicy swojego cierpienia.

Gdy uniósł głowę, zobaczył, że tamci troje za oknem właśnie wstają z miejsc, jakgdyby do wyjścia. W podwórzu zagrało przeciągłą, głęboką fugą wichury. Zerwał się wiatr. Martynka, wychodząc ostatnia, wyłączyła elektryczność, i płonący obraz pokoju szczył w jednej chwili, jak zły sen: w tamtem miejscu powstała czarna luka, przekreślona białym krzyżem ramy okiennej.

Natenczas opuścił swoją kryjówkę i przycisnął się w podwórzu za węglem domu. Z piekącą uwagą i drżeniem wyczekał chwili, gdy Leszek wypadł ze schodów i przeleciał, jak piłka, na ulicę. Głuche dudnienie schodów i odgłosy kroków po przelatującym malcu-wiatronogu gasły w kamiennej ciszy bramy.

Była godzina dziesiąta.

Wiedziony nagle, rozpaczliwie postanowieniem, sędzia udał się po świeżych śladach syna na schody. Ocknął się dopiero we drzwiach mieszkania.

Chce się widzieć z panią. Dziś jeszcze musi widzieć się z panią. Powtarzał to uparczywie służące. Kto prosi?... Powiedzieć, że prosi Maryewski... Tak, sędzia Maryewski! Zostawiła przybłądę w przedpokoju. Ziębnięty, szczekał zębami, chłonąc wonne ciepło mieszkania. Czekał. W szkarłatnym cieniu ponsowej tapety ze złotymi gwiazdami, w szkarłatnej szredzodze przedpokoju, jak w piekle. Wirujące do zawrotu głowy obręcze krwawej mgły krążyły przed oczami, ziemia ustępowała z pod nóg.

W mroku czerwieni, w głębi przedpokoju ukazała się ona, biała... Szeroki, biały szal jedwabny owijał ściśle całą jej gibką, kształtną postać aż po kolana, z których ściekała lśniąca, biała, jedwabista rzęsa długich frendzli.

Z rękoma skrzyżowanymi pod szalem i uniósłszy, zdziwiona, brwi w górę wysoko aż po jasno-blond grzywę rozrzuconych, puszystych włosów, zatrzymała się bez słowa przed spóźnionym gościem.

To była ona!... Tola!... Zawsze ta sama!... I zawsze wystarczało jednego spojrzenia jej niebieskich oczu, aby zgubić się, zginąć i paść niewolnikiem u jej małych nóg!... I przebaczyć wszystko, darować wszystko, i samemu jeszcze błagać o łaskę tej wyniosłej, dumnej, niechętniej pani.

Nie śmiał podnieść oczu.

— Wybacz — mruzczał, i słowa ginęły w zmierzwionej brodzie i wąsach. — Przepraszam cię, że o takiej spóźnionej porze... Musiałem koniecznie dziś...

— Słucham, co? — podjęła niecierpliwie. — Ach, masz do mnie znów jakiś pilny interes!

Zdziwiła się jeszcze bardziej i, wysunawszy rękę z pod szala, spojrzała znacząco na zegarek.

Czekał, jak upokorzony winowajca, póki nie usłyszał chłodnego zaproszenia:

— Proszę cię więc... Wejść do pokoju.

Tedy zdjął palto i pośpieszył za nią do salonu. Usiadła na fotelu, z rękoma skrzyżowanymi na pierśsiach, obeisnąwszy szczerzej swój biały szal jedwabny, nieruchoma, z nogą założoną na nogę. Miała w sobie, w tej pozycji, coś wrogiego, co onieśmiało.

On, przysiadłszy na brzegu fotela, zwiesił z zastanowieniem głowę, jakgdyby ważąc w myślach słowa, które należało wypowiedzieć.

Przynagliła go zniecierpliwiona.

— Więc?... Słucham cię!

Ocknął się i bezdźwięcznym głosem wypowiedział ni to pytanie, ni twierdzenie:

— Leszek był dziś u ciebie.

— Leszek?... Co znowu?... Zabroniłeś mu przecie bywać tutaj.

Zawstydzony jej kłamstwem, uczył, że krew nabiegła mu do twarzy.

— To prawda — odparł. — Ale pomimo to... On tu był dziś! Widziałem go sam...

— To niesłychane! — rzuciła wzburzona, nie zmieniając swej pozycji. — Więc doszło już do tego — mówiła z chłodną wżęardą — że szpiegujesz własne dziecko! Winszuję!... Wyobrażam sobie teraz, w jakiej atmosferze żyje ten biedny chłopak! I nie dziwię mu się wcale, że ucieka z domu...

— Przestań!... Nie masz prawa tak mówić!... Nikt inny, tylko ty jesteś przecie temu winna! Buntujesz go! Tak, to przez ciebie...

— Śmieszny jesteś! Ja go buntuję?... Sam tu przychodził!... Nie potrzeba go do tego namawiać! Przychodzi tu za głosem serca! — dodała patetycznie.

Pobladł. Wszystką mocą duszy starał się zagłuszyć w sobie jej ostatnie słowa. Napróżno!... Te słowa huczały w uszach, jak potężny ryk gigantofonu. „Przychodzi — tu — za głosem serca — za głosem serca“...

Począł mówić, usiłując nie słyszeć tamtych słów, usiłując o nich zapomnieć.

— Było postanowione, że Leszek zostanie przy mnie — mówił tonem łagodnej perswazji. — Pod tym warunkiem tylko zgodziłem się na rozwód. To jest przewidziane w umowie... Nie masz prawa...

— Co, prawa?... Ha, ha, ha!... Prawo!... — zawołała wielkim głosem. — Taki jesteś uczony, taki jesteś niby rozumny, a nie możesz zrozumieć tej prostej rzeczy, że tam, gdzie wchodzi w grę uczucie, tam kończy się wasze arcymądre prawo!... Tak!... I jeśli chcesz wiedzieć całą prawdę, to Leszek przychodził tu i będzie przychodził, póki żyje, bo nikt nie potrafi stłumić w nim tego wrodzonego instynktu i twch naturalnych uczuć, jakie żywi dziecko do matki!...

Uśmiechnęła się z dumą triumfującej matki i oświadczyła tonem wyższości:

— Kocha mnie!... Nikt nic na to nie poradził!... Czy nie jestem jego matką?... I z jakiej racji, proszę, miałabym się z nim nie widywać? Jest przecie moim dzieckiem, i kocham go tak samo, jak Martynkę, a może nawet więcej, bo Martynka ma rodziców, a on jest napół sierotą!

Sędzia chwilił się niżej a niżej. Świat cały trzeszczał w posadach, i w oczach sypały się gruzy na głowę, na plecy, przygniatając straszliwym ciężarem. Z pod rumowiska uczuć i myśli zdołał wyszeptać drżącymi wargami tylko te słowa, przepojone gorczyzą:

— Właśnie, napół sierota... Nie z mojej winy!... Mówisz, że go kochasz!? Ale gdy wychodziłaś za Eysbuntta, wówczas Leszek nic cię nie obchodził, nie istniał dla ciebie!

— To niema nic wspólnego jedno z drugim! Mówmy o tem, co jest dzisiaj! — sarknęła popędliwie.

— Dzisiaj właśnie ja sobie nie życzę... Nie życzę sobie, żeby Leszek szukał gdzieindziej, u obcych, tego, co...

Władysław Rymkiewicz.



W PARYSKIEJ SOFJÓWCE

V.

Na lotnym piasku, miotanym przez burze...

Po sennych ulicach wolnego miasta Krakowa chodziła pani Zofja. Serce jej biło innym rytmem, aniżeli serce sennego grodu: szybkim rytmem szczęścia i wesela.

Byli już razem i zawsze już będą razem. Dostała rozwód. Ślub nierozzerwalnie przed ludźmi związał ręce, jak miłość nierozzerwalnie przed Bogiem związała dusze. Dzieciątko przyjdzie na świat, a z niem większy jeszcze spokój i jeszcze większa jutra pewność. Dzieciątko rosnać będzie, biegnąc po sennem mieście chyżym kroczeniem, razem z nią patrzeć na mączniczki białe, sprzedające przed Sukiennicami kielki, na atlasowe chałaty kazimierzowskich żydków, na Wiselkę szarą i wyniosły Wawel. W dniach wielkich świąt narodowych, w wielkim dniu odrodzenia Polski słuchać będzie Zygmunta dzwonu. Z nią i z nim, z ojcem. Byleby tylko ojcu zdrowie dopisywało!... Cień na jasnym czole, jak obłok na błękitnym niebie, zawahał się, osiadł, spoczął jednak tylko na chwilę. Odegnęła go nadzieją. Cierpi się tak długo, żeby być szczęśliwą...

Wróciła do domu. Feliks już też był wrócił z redakcji „Czasu“.

Od przyjazdu do Krakowa tam pracował z oddaniem, jak wzystko zawsze zwykł był czynić. Ale w tym doskonale redagowanym dzienniku, organicznie konserwatystów i zwolenników silnej władzy, demokracja nie czuł się dobrze.

Zajęcie, które sprawował, nie było dla niego odpowiednie, a stanowisko, które zajmował, nie było godne tego człowieka nieposzlakowanego charakteru, wielkich zdolności, znanego w kołach gorącej młodzieży ze swych patriotycznych działań, szanowanego przez nich i kochanego. Narcyza Żmichowska, będąc w Krakowie, odwiedziła państwa Węgierskich i z wielkim ubolewaniem donosiła potem przyjaciółce: „Dla dziennikarstwa szkoda mi go, bo to natura zupełnie z właściwej sobie kolei wypchnięta“.

Pracuje wprawdzie dla chleba, ale gdy było się szermierzem wolności i bliskim Edwarda Dembowskiego przyjacielem, winno się przed starszyzną zdać sprawę ze swego postępku. Brat Gabryelli, Erazm Żmichowski, emigrant 31 roku, chwilowo w kraju bawiący, swoim prawem tułactwa wymaga spowiedzi i taki rezultat tego zeznania pozostał: „Erazm przekonał się, że jeśli postępowanie Feliksa na drodze politycznej zachwiało się kiedyś, to przynajmniej on temu zaprzecza, a zaprzeczenie, według Erazma, jest żalem grzechu, a żal poprawą“.

Feliks został do końca tem, czem był, a co ważniejsza, Zofja została wierna demokratycznej edukacji swej duszy. Nienaruszone przez życie były zasady, wszczepione przez miłość. Wiara w wolną Polskę — niewiadomo, dziś, czy jutro, ale wiadomo, że kiedyś koniecznie... Wiara w braterstwo ludów, oczy

patrzące ponad przesądami epoki. Droga, którą ukochany jej nakreślił, poszła bez niego — dalej...

Powitała męża uśmiechem radości, za którą krył się smutek:

— Wróciłeś dziś wcześniej? Mówiłeś, że tyle masz roboty...

— Mam, kocienku, mam. Ale tam nie mogę pracować... Tak duszno... Może w domu lepiej pójdzie... Poczekam, odpocznę...

Oczy jego bardziej, niż kiedyś, gorzały; zapaliły się zapadłe policzki bardziej, niż kiedyś.

Oddychał z trudnością. Ciężko mu było mówić, zamknął oczy.

— Trzeba to na jutro zrobić, koniecznie zrobić trzeba...

Bohaterstwo, jak niespodzianka, spadło na usta:

— A gdybym ja?... Może... Spróbuję...

Zdziwione oczy podniósł na nią, a uśmiech mówił:

— Nie potrafisz!

— Dla ciebie może potrafię... Spróbuję... Czy to tak trudno pisać?... Narcyśka twierdzi...

— Narcyśka pisze poezje i powieści... A to artykuł polityczny, nie z główki się go bierze, ale z tych tam gazet...

— Pozwól... Powiedz tylko, o co chodzi...

Uważnie słuchała jego słów, z bólem serca słuchała jego zmęczonego oddechu, a pisała o tem, co się w Turcji dzieje.

— Trudno ci idzie?

— Nie, dobrze mi idzie. To miło pisać... za ciebie.

Feliks przeczytał artykuł i patrzył na żonę zdziwiony. Napisała doskonale pierwszy swój w życiu artykuł. Potem wiele, zbyt nawet wiele artykułów pisała, nigdy jednak nie miała tej radości, co wówczas, gdy zdobyła pewność, iż teraz ona za niego pracować może.

Coraz częściej pisywała za niego. Coraz łatwiej było, ale nie coraz przyjemniej.

Przyszło na świat dzieciątko. Przyszło i odeszło. Zabrało z sobą wiele marzeń i nadziei i zostawiło w sercu przez miesiące tyle nagromadzone bogactwo uczuć, przez miesiące tyle dla niego rosnącą miłość.

Zrobiła się wokół pustka. Pustka nowej tęsknoty, której nie miała już nadziei oddać innej małej istotce.

Feliks patrzył na ciche lzy żony:

— Nie płacz, została nam miłość!

— Ale dziecko nasze byłoby więcej nawet, aniżeli miłość. Dziecko nasze — to my!

Na lotnym piasku, miotanym przez burze, miłość buduje kochanków szczęście. Feliks umarł. Zofja została z dwiema mogiłami i sercem pełnym pamięci i zawodu.

Aura Wyleżyńska.





Winifred Cooper: „Pejzaż tatrzański“.

Ś. P. WINIFRED COOPER

Dnia 16 lutego b. r. zmarła w Warszawie wielka przyjaciółka Polski, Winifred Cooper, artystka-malarka o dużej kulturze umysłowej, o bogatej, wrażliwej duszy i talencie, przejawiającym się nietylko w dziedzinie malarstwa, ale i poezji. Jej angielskie przekłady Kasprowicza, Tetmajera, Wierzyńskiego, polskich pieśni ludowych, a także własne utwory liryczne osiągnęły bardzo wysoki stopień artyzmu.

Pragnąc służyć idei zaznajamiania Anglii z polską literaturą współczesną, przetłumaczyła w ostatnich latach powieść Goetla „Z dnia na dzień“, która świeżo ukazała się w Londynie z przedmową Galsworthy'ego, wyrażającego się o jej pracy w nader pochlebnych słowach, jako o „truly admirable translation“.

W rękopisie zostawiła prześliczny przekład sztuki Szaniawskiego: „Adwokat i róże“, a była to ostatnia jej praca przed ciężką chorobą, która prze-rwała pasmo życia i twórczości tej niezmiernie żywotnej i bujnej indywidualności artystycznej.

W młodości studjowała kilka lat w Paryżu, a za pierwszym pobytom w Polsce w roku 1906/7 pracowała jakiś czas u Konrada Krzyżanowskiego. Poraz drugi wróciła w 1912 roku i była nauczycielką rysunku w szkole średniej na wsi w Skolimowie. Wojna zaskoczyła ją w Warszawie, skąd wyjechała do Rosji, gdzie przeżyła wybuch rewolucji bolszewickiej i z trudem przez Murman przedostała się do Anglii.

Przywiozła z Rosji bogatą kolekcję studjów pejzażowych, oraz charakterystycznych typów miejscowych i szereg subtelnych portretów, których wystawa zbiorowa w londyńskiej Goupil-Gallery (1919 r.) zyskała jej duże powodzenie i uznanie krytyki.

Jednakże po paru latach pobytu

w Anglii i w Irlandji — zatęskniła do Polski i przybyła tu na stały pobyt w Zakopanem, które pokochała specjalnie.

Odtąd była trwałym łącznikiem między swymi angielskimi, a polskimi przyjaciółmi, których miała bardzo wielu, bo cały świat polski literacki i artystyczny znał ją blisko i wysoko cenił. Umiała zjednywać sobie przyjaźń ludzką, oraz wzbudzać zainteresowanie niepospolitemi zaletami swej szlachetnej i współczującej duszy, gdyż był to żywy człowiek, twórczy — nawet poza dziedziną malarstwa i literatury — w zetknięciu z ludźmi, z naturą, ze sztuką, ze światem idei i pracy duchowej. Człowiek żywy — i człowiek wolny — w pełnym znaczeniu tego słowa. Biła od niej bezinteresowność umiłowani intelektualnych z jednej strony, a z drugiej przedziwna prostota podejścia do ludzi, z niewyczerpaną uprzejmością wewnętrzną i z ufną życzliwością, pełną serdecznego zaciekawienia.

Spółczeństwo nasze winno jej głęboką wdzięczność za czynną, szczerą i żywiołową propagandę polskiej kultury, do której przylgnęła całą duszą, zachowując przytem gorący patryjotyzm angielski.

Przy każdej sposobności — czy to były angielskie wycieczki turystyczne w Polsce, czy jej wyjazdy do rodziny w Anglii, czy Kongres Pen-Klubów w Warszawie — umiała wyzyskać na korzyść Polski swą gruntowną znajomość stosunków, zrozumienie sztuki polskiej i odczucie twórczości ludowej.

Miała też w Polsce grono ludzi, szczerze sobie oddanych, którzy kochali ją prawdziwie, a których ten skon przedwczesny dotknął ciężko, jak najbliższą rodzinę.



Winifred Cooper

Julja Kisielewska.

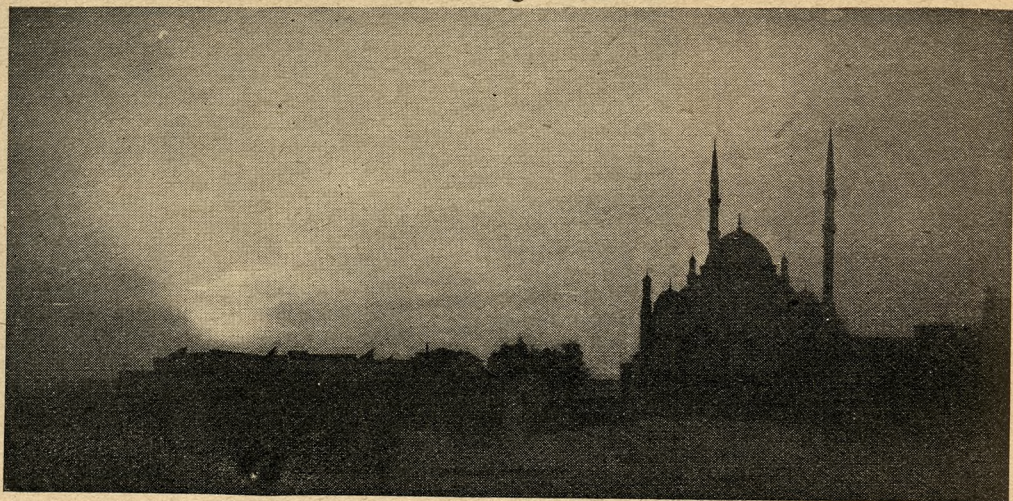
LISTY EGIPSKIE

Lato i zima w Egipcie.

Ogólne wrażenie, jakie odniosłem po całorocznym pobycie w Egipcie, da się sformułować tak: sześć miesięcy rozkoszy turystyczno-klimatycznych i sześć miesięcy transpiracyjno-„ogórkowych“.

To półrocze letnie, a zwłaszcza miesiące maj, czerwiec, lipiec i sierpień (40° C.), są dla przeciętnego mieszkańca północnej czy środkowej Europy niezwykle ciężkie do przebycia. Gorąco działa na organizm tak wyczerpująco, że wręcz niepodobna prowadzić intensywniejszej pracy — zarówno umysłowej, jak fizycznej; łatwo pojmujemy wówczas charakterystyczne lenistwo, ospałość i indolencję ludzi Wschodu — sami się do nich z konieczności potrosze upodabniając; sješta jest wprost nieodzowna; trwa ona, oczywiście, rozmaicie — zależnie od tego, kto na co może sobie pozwolić — w godzinach między dwunastą a szesnastą. Pryszniców zażywa się po kilka razy dziennie; w każdym niemal mieszkaniu jest łazienka z natryskiem (wanny natomiast są raczej rzadkością). Poza to — pochłanianie się nieprawdopodobne ilości wszelakiego rodzaju limonjad i lodów, których ożywcze stacje spotykamy na każdym kroku, oraz piwa — wyrabianego w dość lichym gatunku w Egipcie, tudzież importowanego z Anglii, Niemiec i Holandji.

Podczas tych letnich miesięcy Kair pustoszeje; zamożniejsi jego obywatele oraz część turystów przenoszą się do Aleksandji, gdzie morze przynosi niejaką ulgę rozprężonym ciałom, ale i tam gorąco doskwiera srodze, a ustawiczne parowanie — ów „wilgotny upał“ aleksandryjski — dotkliwie daje się we znaki. Część



Kair o zachodzie słońca.

tubylców mieszka stale w lecie na Nilu — w obszer-nych łodziach, zwanych „dahabijeh“. Posiadacze samochodów również nad Nilem szukają cennego chłodu — spędzając noc w swych wehikulach. Wszyscy zresztą włączają się do późna w noc po nadrzecznych bulwarach lub na mostach. Noce bowiem są zawsze piękne i odświeżają znużone skwarem i zamulone pyłem płuca.

Wyjątek stanowią te, w których dmie „chamsin“ — gorący wiatr od pustyni, wiejący pono 50 dni w roku i stąd biorący swą nazwę (*chamsin* — po arabsku *pięćdziesiąt*). Wtedy jest upalnie i duszno przez całą dobę, a czasem i dwie i człek poprostu rady sobie dać nie może. Dzień, w którym wieje „chamsin“, jest osobliwy tem, że tylko wtedy znika ów nieporównany, nigdy niezmacony błękit egipskiego nieba: staje się ono mętne, jakgdyby powleczone białawo-szarym calunem, z poza którego nie widać słońca. Gorąco wzmagają się potężnie — właśnie dzięki onemu „wietrzyko-

wi“, pędzącemu nieprzebrane tumany kurzu, a niekiedy osobliwego czerwonawego pyłu, przed którego atakami żadne okna ani drzwi nie mogą skutecznie zabezpieczyć mieszkań; takie jednak pełne „występy“ chamsinu należą raczej do wyjątkowych i, jak stwierdzają statystyki, stają się z każdym rokiem rzadsze.

Zmuszeni do spędzenia lata w Egipcie europejczycy przywdziewają klasyczny strój kolonialny: olbrzymi hełm korkowy, garnitur z białego płótna, lub nieco późniejszy z t. zw. „krasz“, najczęściej bez kamizelki (taki komplet jest bardzo niedrogi: gotowy można mieć za 1 funta egipskiego, t. j. za 46 złotych; potrzeba ich mieć oczywiście, c o n a j m n i e j dwa, ze względu na częste pranie); bardzo powszechnie używane są koszule „à la Słowacki“ oraz płó-



Pomitanie pustyni.

cienne pantofle; dopełniają sylwetkę nieodzowne ciemne okulary. Arabowie rzadko noszą białe ubranie; przeważnie paradują w różnej barwy długich chatatach, na głowach zaś mają bądź turbany, bądź też „tarbuzsze“ (fezy). Podziw wzbudziły we mnie kobiety egipskie, szczególnie otulające zwierzchu swe suknie czarnymi welonami i szalami przy czterdziestostopniowym skwarze...

Hotele luksusowe (jest ich dwa w Kairze), jak również nieliczne (a bardzo licze) teatryki *variétés* zamykają na lato swe podwoje; niektóre kinematografy także są przez dwa lub trzy miesiące nieczynne. Marazm, martwota snują się po rozpróżnionych i zakurzonych ulicach. „Ogórki“ na całej linji.



Krajobraz z nad Nilu.



Ogólny widok Luxoru.

Zato egipska zima, skapana w potokach słońca, tryskającego z bezchmurnego nieba, jest rozkoszna i wspaniała. „Sezon“ trwa mniej więcej od października do kwietnia i urozmaicony bywa szeregiem przedstawień gościnnych trup dramatycznych, operowych i operetkowych (francuskich, angielskich i włoskich). Z widowisk sportowych wymienić należy: tir-aux-pigeons (do talerzyków), wyścigi konne, psie i motocyklowe, oraz cieszącą się wielką frekwencją „pelote basque“ (na wszystkich tych imprezach publiczność zgrywa się w totalizatora); pozatem popisy szermiercze, bokerskie, footballowe i tenisowe.

Ruch koncertowy nie jest zbyt ożywiony, ponieważ w sezonie absorbują przybyszów

przedewszystkiem wycieczki turystyczne, zaś poziom kultury artystycznej miejscowej publiczności jest jeszcze dość niski. Nie ma tu specjalnej sali muzycznej, koncerty przejezdnych „gwiazd“ odbywają się w gmachu opery, lub w teatrze Ezbekieh, albo w lokalach kinematografów, gdzie niema szatni, a publiczność zachowuje się nader bezceremonjalnie, nie powstrzymując się bynajmniej od panującego tu zwyczaju palenia tytoniu i puszczając swoiste dymy kadzidel pod nos wirtuozowi... Wśród wybitnych koncertantów ubiegłego sezonu spotykamy nazwiska trzech artystów polskich: Hubermana, Friedmana i Rubinsteina, których kilkakrotne występy cieszyły się olbrzymim powodzeniem. *Gabrjel Karski.*



Wylew Nilu pod piramidami.

NIESPODZIANKA, CZY UMOWA

„Gość w dom — Bóg w dom“.

„Gość nie w porę — gorzej tatarzyna“.

Taką zasadę głoszą dwa stare a bardzo popularne polskie przysłowia.

Musimy przyznać, że na pierwszy rzut oka trudno jest wyciągnąć z nich właściwy sens moralny.

Jakże więc? Które z nich mówi właściwie prawdę i do którego się stosować? Bo gdy je tak zestawimy, to wydaje się, jakby oba razem kpiły sobie z człowieka. Tak jednak nie jest i po głębszym namyśle musimy przyznać, że oba właśnie doskonale dowodzą teorii o mądrości, zawartej w przysłowiaach narodów.

Więcej: dowodzą, że mądrość ta się nie starzeje, bo powstała w zamierzchłych czasach, do dziś nie straciły swej racji, może nawet mają dziś większą, niż dawniej.

Jakim bo sposobem gość przybyć mógł „nie w porę“ lat temu sto i więcej?

Były żniwa i pilna robota w polu? No, to był rządca, ekonom, praktykanci, synowie, to wreszcie gospodarz mógł gościa w pole zaprosić, albo zostawić pod opieką pani i panien. Pani miała robotę? To się wyręczyła gospodynią i pół tuzinem służących.

A przyjęcie? Bardzo ciekawe, czego mogło brakować? Drób w podwórzu, masło, śmietana, jaja, wszystkie zapasy w szpizarni, konfitury w apteczce, ptasie mleko w zręczności i doświadczeniu gospodyni i legjonie służby.

W mieście, mniej więcej to samo, trochę tylko na mniejszą skalę.

A dziś?

Pan ma po biurze dodatkowe zajęcie wieczorne od 6 — 9-ej; służąca (przychodnia) po obiedzie odeszła; pani zapaliła właśnie gaz w łazience: chce sobie uprać kombinację i ze dwie pary pończoszek; chłopcy uczą się w jadalnym pokoju, a gdy skończą lekcje, a pani pranie, zabiorą się we trójkę do porządków; trzeba przygotować rzeczy zimowe, pozdejmować różne makatki i nakrycia, bo jutro od rana przysyłają odkurzaczy — wiosna idzie.

Kolacja? Wszystko w porządku; pani, wracając z zajęcia, kupiła każdemu po dwie kielbaski parowe, ulubiony przysmak swych domowników; z obiadu zostało trochę dobrej sałatki, bułeczki są, po nie schodzić nie potrzeba. Chwała Bogu. To nowe mieszkanie jest śliczne, dzielnica przemiła, ale sprawunki trzeba załatwiać... w Warszawie, czyli o pięć kilometrów!

Z uczuciem zadowolenia z dobrze rozplanowanego popołudnia pani zanurza ładne, kolorowe szmatki w białą pianę mydlaną.

Nagle, trrr..., dzwonek u drzwi wejściowych.

— Jak się masz, Zocha! No, nareszcie dobrnęliśmy do Was! tyle czasu się wybieramy, ależ to wyprawa! Pół godziny jechaliśmy tramwajem od dworca!

Biedna pani Zofja! Czy przysłowie o tatarzy nie da się do niej zastosować?

Powie kto, że to już wyjątkowy splot „tragicznych“ okoliczności, że nie wszyscy przecież mieszka-

ją na kolonjach, a wiele rodzin ma jednak i dziś stałą służącą i t. p., i t. p.

Wszystko to prawda, ale chodzi o jedno: czy dzisiejsze tempo życia pozwala wogóle zabrać komukolwiek niespodzianie dwie lub więcej godzin z dnia?

Przypuśćmy, że nawet nie mamy z tymi niespodziewanymi gośćmi żadnych „materjalnych“ kłopotów, mamy wszystko w domu, lub mieszkamy w środku miasta i mamy służącą, i nie jest „przed pierwszym“, czy w jakim innym, bezgotówkowym dniu, z przyjęciem nie będzie trudności; ale zato ile może być innych warunków życia, które mogą uczynić nam z takiej nieoczekiwanej wizyty niemiłą piłę. Może chcieliśmy pójść do kina lub teatru, na jakąś sztukę, którą właśnie grają ostatni raz, a nie było dotychczas możliwości jej zobaczyć; może mamy na jutro ostateczny termin do napisania artykułu, lub stos zeszytów do poprawienia; a może, po paru lub kilku dniach takich, jakie, wszyscy to wiemy, lubi stwarzać dzisiejsze życie, zapelnionych tak, że szpilki nie ma gdzie wsadzić, marzyliśmy, że dziś odpoczniemy sobie, na „rodzonym“ tapczanie, z książką, lub miłą robótką.

Nic z tego! — wizyta.

I oto w takim nastroju, najmilsi skądinąd ludzie wydają się nam wrogami, czyhającymi na nasz spokój, wesola ich rozmowa i serdeczność blażenstwem i nudą, czas ich bytności u nas udęką.

A jakże łatwo można tego uniknąć! Nie mamy wprawdzie jeszcze w Warszawie paryskiej poczty pneumatycznej, „petit bleu“, którą na kilka godzin przed przybyciem można porozumieć się ze znajomymi, mamy jednak telefon. Jeśli nie każdy ma go u siebie, to napewno można złapać telefonicznie w biurze, jeśli nie panią, to pana domu i nie spadać nikomu niespodzianie, jak przysłowiowy tatarzyn.

Środkiem zaradczym są też do pewnego stopnia i stałe dni przyjęć, tak zwane „żurki“; te jednak urząda się zwykle już dla większej liczby osób i nie wszyscy mogą je mieć w swym towarzyskim programie. Zresztą będą zawsze bliżsi, serdeczniejsi znajomi, którzy przyjdą poza tym stałym dniem; niechże przychodzą w porę!

Uprowadzona o przybyciu gości, pani domu będzie miała możliwość przygotowania wszystkiego, jak chce i umie najlepiej, swobodnie, bez pośpiechu; jest to taka sama przyjemność, jak wybieranie się do teatru, na miłą wizytę lub wycieczkę, przyjemność podwojona przez jej przygotowanie.

Dla tych zaś, którzy wybierają się do znajomych, przestrzeganie tej zasady uprzedzenia o wizycie ma jeszcze jedną korzyść: planowości. Ileż to razy idziemy na wizytę, bo nie mamy co robić z czasem, albo nie obmyśliliśmy sobie dobrze dnia; coś się wskutek tego pokręciło, chybiło, eh — chodźmy, wobec tego, do znajomych.

Tak być nie powinno: dzisiejsze życie wymaga od nas planowości i organizacji na każdym kroku; wprowadzamy ją do naszej pracy zawodowej, do zajęć domowych; najwyższy czas wprowadzić ją i do stosunków towarzyskich.

N. J.



Z TEATRÓW

TEATR NARODOWY.

„O żonach złych i dobrych“ — komedia w 4 aktach Adolfa Nowaczyńskiego. Reżyserja Ludwika Solskiego. Dekoracje Wincentego Drabika.

Pszczola ginie, kiedy jej wyrwać żądło.

W swoich dawniejszych sztukach Nowaczyński gryzł, kąsał, kłuł, dźgał i szarpał; był wspaniałym drapieżnikiem o tygrysy pazurach i jadzie węzowym. „Żony złe i dobre“ oblaśkiwały króla pustyni, stępiły jego kły, obcięły grzywę. Wczorajszy lew stał się, nie barankiem jeszcze, ale misiem, łakomie sięgającym po wonne miody sielanki małżeńskie.

Ale w tej patrychalnej szacie dobrotliwego pasterza i pasciecznika mniej jest Nowaczyńskiemu do twarzy, niż w dawnej, wykrzywionej wściekłą pasją masce satyryka, kpiarza i biczownika. Jakby z ostatnią kroplą jadu resztką życia uciekła z tej komedji. Zostały tylko jego pozory: zamęt, ruch, chaos, tłok na scenie, gzy i zaloty trzech pokoleń — młyńskie koło, obracające puste żarna, mielące wodę na tęczyowy pył.

Zaraz po podniesieniu kurtyny autor rzuca nas raptownie w wir, przytłaczający mnogością zdarzeń bez znaczenia. Jakaś gromada istot bez twarzy (czytaj: mężczyzn w smokingach, a kobiet w piżamach) gra w bridża, pije, baraszkuje, flirtuje po kątach; jakiś półgłówek maluje w transie, jakaś historyczka rzuca się na szyję mężczyznom, a potem się kokainizuje, — jednym słowem orgja na wielką skałę, tak, jak ją sobie wyobraża Nowaczyński. Myszy bez kota.

Kotem jest pani tego domu, zjawiająca się bardzo w porę, bo o świcie, kiedy nocny szal już się wypalił. Dla kontrastu pokazano nam szal gospodarczy nowocześniejszej matrony, zwarzowanej na punkcie reform gospodarskich. Efekt nienowowy, wielokrotnie już zużyty i nadużyty, ale darowalibyśmy go autorowi, gdyby w dalszym rozwoju akcji zaćmił go niezwykłością pomysłów.

Tylko że, niestety, w tej sztuce niema żadnej akcji. Niektóre z marjonetek, ruszających się żwawo w pierwszym akcie, czasem się znów ukazą, czasem nie; zjawiają się nowe, nikomu na nic niepotrzebne, chyba autorowi, żeby zapłacić tę nienasyconą pustkę, jaka wieje z każdego kąta tej sztuki.

A temat był świetny i dotychczas niewyzyskany: pokazać we wkleślem zwierciadle satyry i persyflaży tak częste obecnie małżeństwa arystokratów z aktorkami i „girlaskami“, to jest naprawdę złote jabłko dla scenicznego majstra i smakosza. Niestety, Nowaczyński dał nam z niego tylko... obierzyny.

Stworzył kilka kapitalnych postaci, których kontury sam zamazał przez pozbawienie ich właściwej perspektywy, przez bezkrwistość akcji, a które ratowała doskonała gra aktorów (Firleyowa — Cwiklińskiej, Książdz — Solskiego i Bunia — Jasińskiej). Szczególniej Bunia. Ten doskonale uchwycony typ kobiety niewyżytej erotycznie i psychicznie, która z naiwną ciekawością sześćdziesięcioletniego podlotka chłonie wszystkie aromaty i wyziewy nowoczesnego świata aeroplanów, futurystycznych malarzy i rewij kabaretowych i cały ten świat rozpromienia różowemi szklami swojej wiecznie debiutującej wiary w ludzi i życzliwości dla nich, — ten typ jest niezaprzeczną zdobyczą Nowaczyńskiego. Tylko, że francuz — jakiś Caillavet i Flers np. — zrobiłby z tej postaci małe arcydzieło portretowe, ustawiwszy je w odpowiednich ramach sytuacyjnych. Tymczasem tutaj najważniejszym wiązadłem scenicznym jest frazes: „Siadaj, ja ci to zaraz opowiem...“.

Kiedy te słowa słyszy się pierwszy raz, to jakoś jeszcze można wytrzymać, za drugim chwytą człowieka za szczęki ziewanie, a po trzecim — nawet zupełnie dobre i udane dowcipy padają w próżnię.

Stanowczo w „żonach złych i dobrych“ prześladowuje No-

waczyńskiego fatalność. Co chwila natrafia na złotą żyłę i porzuca ją lekkomyślnie, aby przeplókiwać jałowy piasek i mikę.

Taką złotą żyłą jest w tej komedji jeden moment, który prosto prosi się o rozwinięcie go w epizod. Oto w wielkopańskim pałacu, w którym płacze się ta cała arystokratyczno-kabaretowa halastra jest sala teatralna, przez obecną dziedziczkę zamieniona na spiżarnię. Jak w „Myszeidzie“ Krasickiego biblioteka klasztorna. Przez cztery akty mówi się o tym teatryku, bo przecież w nim przed półwiekiem debiutowała w jakimś salonowym madygale przemiała Bunia i ona to upomina się ciągle o klucze od tego Sezamu.

Jednocześnie pęta się po scenie genjusz bez teki, reformator teatralny bez teatru, szukający materialnego poparcia u małżonka Buni, hrabiego Melsztyńskiego. Już, już zdaje się, że na włosku wisi pirandellowski eksperyment. Pozwolić temu pomyłonemu prorokowi nowej sztuki dramatycznej rozwinąć skrzydła w starym stanisławowskim teatryku, pokazać z bezlitosną brawurą, jak to tylko Nowaczyński potrafi, dom warjatów na trzech piętrach w klasycystycznym entourage'u, i kazać na to wszystko patrzeć osłupiałej Buni o srebrnych włosach matrony polskiej, jeżących się ze zgrozy pod czarnym koronkowym „fanszonikiem“.

Coby to był za spektakl! Jaka orgja karykatur, jaki symposion zgorzsenia, jakie rozpasanie parodji, jaki popis dla aktorów, jaki teren doświadczalny dla Drabika!

Ale Nowaczyński przeszedł obojętnie nad tą kopalnią złota, aby wystawiać na sztych profesora-grzybiarza, dobrze znanego czytelniczkom „Bluszczu“ z jego rewelacyj w dziedzinie grzybowej.

Tu się obnażyła pięta Achillesowa Nowaczyńskiego; jego słabość do manjactwa i ekscentryczności. Freud niewątpliwie miałby tu rozległe pole do odkrycia jakiegoś niesłychanego kompleksu, — my notujemy tylko charakterystyczne zjawisko.

A teraz słówko o reżyserji i grze aktorów. Reżyserja zgrzeszyła zupełnie niewczesną powściągliwością w używaniu olówka, która zemściła się na premierowym spektaklu nużącą gadatliwością i rozwlekłością pewnych scen. Artyści grali w stylu Nowaczyńskiego, to znaczy nie koncentrycznie, ale ekscentrycznie. Każdy po swojemu.

Zaneta Firleyowa była znaną nam dobrze i powszechnie lubianą Cwiklińską. Jaka szkoda, że ta świetna artystka daje nam zawsze tylko siebie, w przeciwieństwie do Solskiego, który za każdym razem drobniawo opracowuje kreację, i Węgrzyną, który w rolach charakterystycznych osiąga całkowitą metamorfozę. Jasińska była za młoda na Bunię i za mało miała magnackiego gestu: była poczciwą babunią z zaścianka, a nie wielką damą. Kokainistkę i historyczkę znakomicie „odstawiała“ Larys-Pawińska w pierwszym akcie; zato mniej była przekonująca w scenie skrucy.

Trudno jest wymienić wszystkich artystów, tembardziej, że niektórym udało się szczęśliwie „ujść w tłoku“! S. P. O.

Z KSIĄŻEK

H. Romer-Ochenkowska: „Tutejsi“ — Warszawa 1931 rok. Tow. Wydawnicze „Rój“. Wyd. II.

W okresie, kiedy wszelkie wartości anegdotyczne, psychologiczne i intelektualne literatury upatruje się w czasach powojennych, nie spostrzegając, że nowe czynniki, wprowadzone przez inne warunki życia, zaczynają przekształcać się w szablony — książka Romer-Ochenkowskiej, p. t. „Tutejsi“, jest nieomal unikatem. Nie dlatego, że porusza tak zwany regionalizm, bo uczynili to przed nią choćby Tetmajer i Orkan, ale dlatego, że wątek opowiadań wysnuwa z dawnych, „niemodnych“ dzieł czasów, nie zaczepiając niczem, nawet reminiscencją, później-

szych wypadków, które swą niezwykłością przywały dawne myśli i dawne ideały.

Regionalizm, w poważnym naukowym znaczeniu, jest w książce Romer-Ochenkowskiej tylko jednym z motywów; kwintesencją będzie głęboka uczuciowość, która splata i łączy w cudownej harmonii zwykły, nieskomplikowany żadnymi racjami stanu, patryjotyzm z umiłowaniem ziemi, tej właśnie smutnej białoruskiej ziemi i jej ludu. Obyczaje, gusła, zabobony, tradycje występują tu, jako rzeczy podrzędne, jako tło, na którym autorka tka nić szczerego sentymentu i jakiegoś rzewnego zadumania nad dolą i niedolą Białejrusi.

Do tematu podchodzi Romer-Ochenkowska rozmaicie: czasem drogą poezji, czasem, ponurym w swym realizmie, obrazkiem (np. w noweli: „Baba z Kozłów“), a czasem załśni ognikami pierwszorzędного humoru.

W oświeceniu tem dzieje chat i dworów, tak samo, jak i psychologia ludzi, w nich zamieszkałych, uwypuklają się nadzwyczaj plastycznie, a bezpośrednio tę wzmaga jeszcze styl książki, żywy, barwny, doskonale ilustrujący atmosferę białoruskiej wsi.

Całość jest świeża i oryginalna i pociąga urokiem jak gdyby egzotykiem, którą do dziś dnia stanowi dla nas nieznaną, a pełną swoistego czaru Białorus.

Z. M.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

NAJPIĘKNIEJSZA ŚWITA.

Książę Walji, który obecnie wybrał się w długą podróż w celu zwiedzenia stanów romańskich Ameryki, przybywa wkrótce do Brazylii, gdzie będzie przyjmowany z wielkimi uroczystościami. Całe „towarzystwo“ z Rio Janeiro przygotowuje się do tych przyjęć. Te stare rody brazylijskie zachowały do dziś wszystkie arystokratyczne obyczaje przodków. Następcy tronu angielskiego, jakby monarsze, zostanie przedstawiona cała młodzież high life'u, która stanowić będzie jego świętą honorową podczas pobytu w Rio, biorąc udział we wszystkich festynach.

Za najpiękniejsze wśród panien uchodzą trzy młodziczki seniority, które widzimy na rycinie, są to (od lewej do prawej): Gilda de Rochas Miranda, Lucita Bernadoz i Cicone Porto-

carrere. Wszystkie trzy pochodzą ze starych rodzin, przybyłych niegdyś z Francji, w których żyłach płynie, podług podania, błękitna krew Burbunów.

W MYŚL DAWNYCH TRADYCYJ NOWE CZYNY.

W dobie obecnej kwestja obrony państwa zaprzęta umysł nie tylko mężczyzn, lecz w niemniejszym stopniu jest ona traktowana przez kobiety, które zrzeszają się w różne organizacje o charakterze wojskowym, wyrabiającym swe członkinie na dzielne pracownice na niwie społecznej. Jedną z takich organizacji, która czuwa nad całością ruchu przysposobienia kobiet, jest Organizacja przysposobienia Kobiet do Obrony Kraju. Oddziały pewianek powstają kolejno we wszystkich miastach i miasteczkach Rzeczypospolitej. Istniejący od roku ośrodek P. W. w Bydgoszczy rozwija się doskonale.

Pewianki, prócz swych ćwiczeń obowiązkowych, przechodzą kursy sanitarne, gospodarczo-intendenckie, zorganizowały szwalnię, a obecnie odbyło się poświęcenie nowo powstałej świetlicy. W uroczystości wzięła udział przybyła z Warszawy komendantka naczelna, p. Wittekówna, oraz liczne grono miejscowych zaproszonych gości. Przewodnicząca koła bydgoskiego, p. Wigurzyna, zaznaczyła, że: matki czuwać będą, by zdrowe, młode pokolenie dziewcząt rosło na Chwałę Ojczyzny, aby, nim odejdzie pokolenie, zrodzone w niewoli, wyrosły nowe kadry obrończyni wolności.

Słusznie też stwierdził dyr. Siemiradzki, że w duszach polek dzisiejszych żyją najlepsze tradycje Emilji Plater, Pustowójtówny i ostatnich bohaterów, orląt lwowskich.

DADZĄ SOBIE RADĘ I W LIDZE NARODÓW.

Wielkie stowarzyszenia kobiece odniosły w tym czasie poważne zwycięstwo na terenie obrad Ligi Narodów. Zdały też egzamin energii i sprawności w działaniu, nie pozwalając „utrącić“ ważnej sprawy kobiecej.

Dostojna Liga miała mianowicie dyskutować i przyłożyć swoje urzędowe *placet* na nowym projekcie prawa o narodowości mężatek, uchwalonem w r. z. w Hadze, i zalecić go poszczególnym państwom do ratyfikacji. Dyskusja miała się odbyć w końcu sesji, po palących obradach politycznych w sprawie śląskiej i innych; tymczasem na wniosek jednego z członków Ligi, sprawa została przedyskutowana na pierwszym ze-



Trzy najpiękniejsze.

braniu, wbrew żądaniom związków kobiecych, wyłonienia specjalnej Komisji Kobiecej i wbrew projektowi, by Liga odłożyła to polecenie ratyfikacji praw mężatek, do września r. b., w którym to czasie przyjąć ma pod jej obrady sprawa zmian w całokształcie prawa międzynarodowego. Załatwiono więc krótko i „od ręki” sprawę, zalecając państwom ratyfikację konwencji haskiej o narodowości mężatek, prawa, w zasadzie dla kobiet niekorzystnego.

Członkowie Ligi zapomnieli jednak, że w Genewie przez cały rok urzędują ekspozytury wielkich związków międzynarodowych kobiecych, a w czasie sesji Ligi zjeżdżają wszystkie ich wybitne działaczki. To też po tej nieprzychylniej decyzji Ligi, zawrzało w świecie kobiecym. Pierwsze „zakrzętnęły” się amerykanki, które wysłały do wszystkich związków kobiecych depesze z żądaniem interwencji. Nie upłynęło 48 godzin, a p. Henderson (on to bowiem tak gorliwie przyśpieszył decyzję Ligi) otrzymał z Europy, Ameryki i Azji 250 depesz, żądających rewizji tego postanowienia! Francuska zaś Liga praw wyborczych kobiet wysłała depeszę do Brianda, przypominając mu, że skoro odwoływał się do kobiet z żądaniem poparcia w sprawie pokoju, niechże teraz im też okaże swe poparcie. Zaalarmowano wszystkie agencje prasowe i radjo, a niezmordowane działaczki zaagitowały wszystkich delegatów, aby nie opierali się odwołaniu fatalnego dla kobiet postanowienia. Jeden zaś z delegatów, p. Matos z Gwatemali, podjął się wnieść projekt odwołania decyzji na sesję.

Skutek był nadzwyczajny: Liga poddała rewizji swoją zapadłą już decyzję i postanowiła sprawę praw mężatek odroczyć do września, a wtedy przedyskutować ją przy udziale Komisji Kobiecej.

WIERNA W KAŻDEJ DOLI.

Od dłuższego czasu trwają przygotowania do nowej wyprawy polarnej, drogą dotychczas jeszcze niepraktykowaną:



Lady Wilkins.

w łodzi podwodnej. Śmiałym sportsmenem, który podejmuje się tej próby, jest angielski kapitan Wilkins. Obecnie rozeszła się wieść, że dzielnemu marynarzowi towarzyszyć będzie jego żona, lady Wilkins. Na łodzi podwodnej kapitana Wilkinsa, z nadzwyczajną starannością przygotowanej do tej niebezpiecznej wyprawy, oddzielono już maleńką kabinę dla pani Wilkins, która będzie jedyną kobietą wśród załogi statku.

ANGIELKI UMIEJĄ PRACOWAĆ.

Nigdzie chyba tyle kobiet nie pracuje w przemyśle fabrycznym, jak w Anglii; przysłowiowa, ciężka dola „robotnicy” nie jest tam wcale tak zła, skoro znajduje tyle amateerek i skoro liczba ich stale wzrasta. Rozwojowi tej pracy na isticie olbrzymią skalę przeszkadza jeszcze bezrobocie, pomimo tego jednak cyfry kobiet, pracujących w fabrykach, w Anglii są imponujące. Obecnie jest ich 5 i pół miliona! Najwięcej kobiet pracuje w branży krawieckiej: 155 tysięcy; w pralniach 112 tys.; w przemyśle piekarskim i cukrowniczym 57 tys.; w ceramicznym 45; w hutnictwie 8 tysięcy, przyczem w niektórych działach przemysłu maleje liczba mężczyzn, a wzrasta liczba kobiet, np. w farbiarstwie, szewctwie, włókiennictwie, bieliźniarstwie i, o dziwo, w garncearstwie.

Kobiety, o ile tylko mogą, rzucają się do pracy zawodowej jeszcze i dlatego, że nawet, gdy tę pracę stracą, otrzymują prawo do zasiłków dla bezrobotnych, fabrykanci zaś chętnie angażują robotnice, gdyż otrzymują one zawsze jeszcze niższą płacę, niż robotnicy. To też słusznie stwierdzają angielskie pisma kobiece, że w interesie samych mężczyzn leży: równa płaca za równą pracę.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Horyzont Europy, a nawet wogóle świata stanowczo się wy pogodził. Układ morski francusko-angielsko-włoski jest faktem dokonanym. Briand może sobie tu powinszować swej pokojowej teorii, a Henderson praktyki, on to bowiem ostatecznie dał sobie radę z dotychczasowym separatyzmem Włoch w sprawie zbrojeń morskich, a może i w innych. Wiadomo bowiem, że w ciągu ostatnich paru lat między Francją a Włochami ujawniły się różnice polityczne, które Francję napępiały niepokojem zupełnie realnym, wobec tego, że polityka włoska zaczynała zbyt już wyraźnie skłaniać się na stronę Niemiec, a nierzadko i Sowieków. Obecny układ stanowi przeciwwagę tym tendencjom, nie mówiąc już o korzyści, jaka spłynie z samego ograniczenia zbrojeń morskich.

Anglja wprawdzie zrezygnowała ze swego pierwszego miejsca na morzach, lecz otrzymała wzamian od losu inną, niezmiernie ważną kompensatę: zawarty został układ z Ghandim. Wódz duchowy odradzających się Indyj podpisał z wicekrólem lordem Irvinem, układ, akceptujący nadaną Indjom przez Anglję Konstytucję, i nakazał zaprzestania biernego oporu: bojkotu urzędów i towarów angielskich. Kongres hinduski układ ten już zatwierdził.

Przyjmując, w imieniu swego narodu, który tak nieograniczone pokłada w nim zaufanie, Konstytucję dla Indyj, Ghandi okazał, że jest nie tylko patryjotą, ale wielkim mężem stanu. Ten człowiek, oddany najgłębszym sprawom religijno-filozoficznym, oderwany pozornie od życia, jakże świetnie w gruncie rzeczy orjentuje się nie tylko w psychice, lecz i w warunkach materialnych swego narodu, w polityce Anglii i stosunkach ogólnie światowych! Rozumie on doskonale, że absolutna niepodległość Indyj jest w chwili obecnej niepodobieństwem, że, z drugiej strony, nieustający opór przeciwko Anglii jest również niepodobieństwem, i że jakiegokolwiek wady ma nowa Konstytucja, jest ona olbrzymim krokiem na drodze wkroczenia Indyj w okres rozkwitu, przygotowania do przyszłej roli państwa, sfederowanego z Anglją.

Dla Anglii zaś, wobec jej obecnych trudności wewnętrznych, pomyślnie załatwienie kwestji hinduskiej było, śmiało rzecz można, kwestją bytu.

NASZA MÓWNIKA

Jak zapobiec? (w odpowiedzi p. Wandzie R.).

Poruszony przez Panią Wandę R. temat w numerze 5-im „Bluszczu“ dotarł do każdej z nas i niejedną czytelnickę głębiej zastanowił.

Pani Wanda R. brała pod uwagę życie małżeństwa w stolicy, gdzie, rozumie się, kosztuje wszystko drożej i jest więcej pokus, pociągających za sobą kolosalne wydatki. Jednak mieszkańcy prowincji w równej mierze odczuwają braki. Ale o zmniejszeniu stopy życiowej przeciętnego inteligenta mowy być nie może; jestem raczej za zwiększeniem przedsiębiorczości i intensywności zarobków. Idziemy bowiem po linii najmniejszego oporu. Zarabiamy w stosunku do potrzeb i wymagań grosze, wydając złote. Brniemy tem samem w długi, z beztróskiem twierdzeniem „jakoś tam będzie“.

Mały przykład: urzędnik, zarabiający przeciętnie 400 zł. miesięcznie i mający na utrzymaniu rodzinę, składającą się z żony i trojga dzieci; czy może on zaspokoić wszystkie potrzeby swoje i najbliższych? Oczywiście, kwota ta wystarcza jedynie na skromne żywienie, na mieszkanie, opał i posługę. A gdzie ubranie, obuwie i t. p.? Są to przecież konieczne i niezbędne rzeczy i każdego miesiąca musi być na ten cel przeznaczona minimalna suma 100 zł., a gdy jej brak, co robić? Oczywiście, korzystamy wówczas z kredytu i przepłacamy za grzeszność kupca, który był łaskaw przyjąć nasze weksle. Na drugi miesiąc, spłacając weksel, nie płacimy za mieszkanie, względnie nie wykupujemy weksla, dopuszczając do protestu. Często już zniszczone obuwie lub ubranie jest jeszcze niewypłacone.

I tak z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc skala długów się zwiększa, rujnując spokój i mącąc pożycie małżeńskie. Z każdego kąta wyziera niedostatek, a dzieci coraz częściej przysłuchują się sprzeczkom rodziców, nie wiedząc nieraz, po czyjej stronie tkwi prawda. Czy w podobnych warunkach można mówić o rozrywce? Kino, teatr, kupno książki to są luksusy, niedościgłe dla pracującego inteligenta. A gdzież składki na różne organizacje i stowarzyszenia? przecież to nieuniknione, jesteśmy społecznymi.

A teraz weźmy pod uwagę okres wakacyj letnich, okres różnych wycieczek szkolnych. Czyż kochający rodzice odmówią dziecku wyjazdu z wycieczką w góry, lub nad morze? Przecież. Z trudem pożyczą w banku lub w kasie i wyślą dziecko, aby przecież coś zobaczyło, aby wzbogaciło umysł, bo niby poco żyje? Sami już dla siebie nie myślą o rozrywce, żyją dla dzieci. W większości wypadków polska inteligencja, ta elita społeczeństwa, nie zna kraju rodzinnego, jego przebogaty okolic. Tęsknem okiem wodzą po mapie ziem polskich, czują się dumni z ojczystego obszaru, zaczytują się w opisach gór i morza, cieszą się rozbudową Gdyni i marzą o lepszym jutrze, które im pozwoli spłacić dług, doprowadzić do stanu normalnego swój budżet, no i zaspokoić tęsknotę serca do błękitu gór i do szumu fal polskiego morza. Choć raz przed śmiercią ujrzyć te cuda natury! I z taką myślą śmierć ich zastaje. Chyba duch biednego inteligenta błąkać się będzie po tych wyżynionych okolicach, bo za żywota nie stać go będzie na to.

Życie obecne inteligencji pracującej, to wegetacja. Trudno bowiem nazwać życiem stałe borykanie się z losem i łudzenie się lepszą przyszłością. Okłamujemy się tylko. Według mnie, małżeństwo, chcąc żyć skromnie, ale utrzymać się na pewnym poziomie wymagań, musi mieć do rozporządzenia 1000 zł. miesięcznie minimum.

Pola Pawłowska — Krasnystaw.

Nie jest tak źle.

To, co p. Marja Ankiewiczowa pisze o kobiecie — żonie, matce i gospodyni, odnosi się, mam wrażenie, bardziej do naszych matek.

Obecne bowiem pokolenie pań-gospodyń, w sferach inteligencji, przeważnie zaczyna już uważać, że obowiązki względem męża, dzieci i domu nie wykluczają bynajmniej obowiązków względem samej siebie i że każda z kobiet ma prawo myśleć również o rozwoju swej własnej indywidualności, nie składając jej ostatecznie na ofiarę Molochowi gospodarstwa domowego.

W sferach mniej uświadomionych tendencje te występują również, lecz niestety skierowuje się je tylko w stronę nadawania sobie prawa do zabawy, do użycia, pod hasłem „niezmarnowania się“, „niezmarnowania życia“.

Że to „budzenie się indywidualności współczesnej kobiety należałoby wykorzystać i skierować je w należyte łożysko, to sprawa nader ważna, ale nie o tem chcę teraz mówić.

W związku z artykułem p. Ankiewiczowej, pragnę zaznaczyć, że sprawa nie przedstawia się znów tak tragicznie.

Mimo tego „wymieniania się na drobne“, zabijania w sobie indywidualności i tym podobnych zbrodni, które kobieta, a raczej życie dokonuje na niej codziennie, kobieta jest siłą niepospolitą. Mieści w sobie takie, niezrozumiałe wprost zasoby energii i sił, które pozwalają jej na sprostanie wszystkim obowiązkom, nawet tym, stojącym u nas na ostatnim już planie, obowiązkom względem samej siebie, względem swego człowieczego „ja“.

Przyjrzyjmy się bowiem życiu: Kto najwięcej czytuje książki? Kobiety. Kto najbardziej popiera sztuki piękne (teatr, koncerty)? Kobiety. Kto przeważnie należy do związków, o charakterze mniej realnym, mających na celu jakieś wartości duchowe, abstrakcyjne? Kobiety. Kto w małżeństwie rozwija się bardziej duchowo i intelektualnie? Przeważnie kobieta. A i społecznie, kto więcej pracuje w organizacjach społecznych? Kobieta. Chcąc być szczerą, muszę zadać jeszcze jedno pytanie: kto więcej uczęszcza na bale i dancingi? Też kobieta. Ale to przeważnie już ten numer drugi.

Nie mam bynajmniej zamiaru apoteozować kobiety, widzę jej wszystkie wady i słabości; ale biorąc ten, nikły co prawda, procent kobiet inteligentnych i uświadomionych (naprawdę inteligentnych; nie tylko z etykiety), muszę stwierdzić to, co powiedziałam wyżej.

Jest to bowiem świadectwem, że w kobietach zadatki te są, u większości dotąd jeszcze w postaci utajonej, jednakże są i że pęd ku intelektualnemu rozwojowi w kobiecie jest większy, niż w mężczyźnie, no i „duch żywie w niej silny“. Chciałabym więc, byśmy na siebie i swoje obowiązki nie patrzyły tak czarno, a ożywiły w sobie silną wiarę i pewność, że mimo różnorodności tych zadań, damy sobie w niemi radę i nie tylko nie uronimy nic ze zdobytych już wartości, które wnosimy w życie, ale je rozwiniemy i pogłębimy.

J. Korulska.

Wolna placówka.

Czytając wciąż o bezowocnych często poszukiwaniach pracy i wiedząc o jednej wolnej placówce, zwracam się w tej sprawie do Czytelniczek „Bluszczu“.

W miasteczku, w którym mieszkam (miejscowość, mogąca służyć jako letnisko), brakuje dobrej krawcowej. Z trzech, które miały stać dużo roboty, dwie wyjechały z powodu spraw rodzinnych.

Panie, które znają dobrze krawiecczynę, znalazłyby tu dużo pracy. O panienci do pomocy łatwo, ale szują słabo.

Ja ze swojej strony mogę zapewnić kilkadziesiąt klientek. Potrzebne dobre szycie sukien wizytowych, balowych i ubranek dla dzieci.

Jest to warunek konieczny dla zapewnienia klienteli. Chodzi o szybką decyzję, żeby wykorzystać jeszcze sezon przedświąteczny, bo praca już czeka. Bliższych informacji udzieli listownie. Mój adres w Redakcji.

Kresowianka.

BEZMYŚLNE OKRUCIEŃSTWA

„Stokroć razy wolałabym popełnić tysiąc niewłaściwości, niż jedno jedyne okrucieństwo!“ — woła najsympatyczniejsza z bohaterek Anatole'a France'a, hrabina Teresa de Martin Bellême.

Niestety, w życiu znacznie więcej spotykamy osób, które, panicznie obawiając się popełnienia najdrobniejszej niewłaściwości, popełniają na każdym kroku pod i półświadome okrucieństwa.

Najdrobiazgowiej opracowany kodeks towarzyski nie zdoła wszystkich możliwych okrucieństw przewidzieć i przed nimi zabezpieczyć. Najdoskonalej ułożona kobieta potrafi z premedytacją uwodzić przez cały wieczór cudzego męża, pod samym nosem zazdrosnej żony, i świat nie znajdzie nic do zarzucenia.

O ile zachowane zostały obowiązujące w towarzystwie formy, najcnotliwsze matrony stają w obronie kokietki.

— Byłam przez cały czas obecna, moja duszko, i powiadam ci: nie pocałował jej nawet w rękę! Rozmawiali przez cały czas o wyścigach, o teatrze, o jego podróżach... A że ta zazdrosna megiera, jego żona, to zieleniała, to żółkła z zadróści — to już taki obrzydliwy charakter: nie może znieść ładnych kobiet, bo sama jest szpetna, jak grzech śmiertelny.

Cnotliwe matrony mają pozornie rację. Piękna pani nie popełniła najłżejszej niewłaściwości towarzyskiej, uprzejmie rozmawiając z mężem brzydkiej żony o teatrze i wyścigach. Nie może temu nic zarzucić nawet jej własny małżonek.

Gdyby jednak piękna pani była nietylko światowo wyrobiona, lecz jeszcze i dobra i subtelną — zauważyłaby niewątpliwie zaniepokojone i smutne spojrzenie siedzącej w kącie kobiety, nieładnej i osamotnionej. A zauważywszy, nie powiedziała by obojętnie, ironicznym tonikiem: „Pańska żona dziś jakoś nie w humorze“ — tylko postarałaby się wciągnąć nieśmiało i nieefektywną kobietę do rozmowy, dać jej jakąś szansę zabłyśnięcia; podkreśliłaby trafność któregoś z jej powiedzeń, spostrzeżeń, dowcip i inteligencję... lub wreszcie, przerwałaby ten niewinny w założeniu flirt, który przestał być niewinnym z chwilą, gdy stał się powodem czyjegoś cierpienia.

Bezmyślne i bezkarne okrucieństwa popełniamy na każdym kroku. I wtedy, gdy popisujemy się swymi walorami fizycznymi wobec ludzi, w tej mierze upośledzonych; i wtedy, gdy wykorzystujemy swą przewagę materialną lub sytuacyjną, każąc na sobie bez potrzeby czekać tłumowi interesantów i petentów.

Przyczyną do drobnych, pozornie niewinnych złośliwość, staje się zgubnym nałogiem, uniemożliwiającym towarzyskie obcowanie z osobnikami, które mu podlegają.

Miły zwyczaj zasiadywania się przy osobach, które zupełnie wyraźnie pragną pozostać same — udaremnił niejedno porozumienie, niejedną ważną sprawę utrudnił lub opóźnił.

Drobne szpilki salonowych złośliwość nieraz zostawiają głębokie rany. Rzucona odniechcenia uwaga o tem, że się widziało pana X. pod ręką z panią Z. o niezwyklej dla obojga porze i w mało uczęszczanej dzielnicy — może stać się przyczyną szeregu burzliwych scen małżeńskich, pierwszą rysą w niewzruszonym dotąd gmachu wzajemnego zaufania, kamieniem węgielnym rozvodu.

A w końcu okazuje się, że dowcipnisie wcale nie widzieli pana X. i pani Z., że to był taki sobie miły

zarcik towarzyski, że chciano się przekonać, jakie to zrobi wrażenie...

Niezliczoną ilość bezmyślnych okrucieństw popełniają ludzie bogaci, wciągający swych niezamożnych przyjaciół w orbitę swoich zabaw: w wysoką grę w karty, pikniki restauracyjne, kosztowne wycieczki i t. p., nie rozumiejący, że zapłacenie przypadającej na nich części jest dla tych ludzi nadszarpnięciem budżetu i skazaniem ich na szereg dotkliwych prywacyj, a przyjęcie darowizny — upokorzeniem.

Nierzadko zdarzają się jeszcze urocze panie, pijące przy bufecie wino w towarzystwie przygodnych tancerzy i nie troszczące się bynajmniej o to, czy uregulowanie rachunku nie sprawi tym panom poważnej różnicy.

Doniedawna dobre wychowanie kazało pani domu być ubraną jak najskromniej, aby nie zaćmić blaskiem toalety żadnej z zaproszonych dam. Obecnie, delikatny ten wzgląd ustąpił zdecydowanej chęci przytłoczenia gości przepychem stroju i przyjęcia.

Nieraz słyszy się panie, częstujące się wzajem podobnymi słodyczami:

— Skromniutka ta twoja sukieneczyna, ale jeszcze ujdzie.

— A tę wspaniałą toaletę to pamiętam dobrze jeszcze z ubiegłego karnawału. Podziwiałam w niej panią na wszystkich balach. Ja bo, osobiście, wolę mieć rzeczy mniej kosztowne, aby móc częściej zmieniać.

— Najmocniej panią przepraszam, ale nie poznałam pani narazie. Tak bardzo się pani zmieniła. Co za szkoda!

Albo już całkiem prosto z mostu, o ile się ma do czynienia z osobą „bliską“:

— No, wiesz, moja droga! Żeby się jeszcze ubrać w szarą suknię, przy takiej ziemistej cerze, jak twoja, to już doprawdy trzeba mieć pomarańczowy gust! A potem jeszcze się dziwisz, że mąż lata za aktorkami!

Osoby „bliskie“ uważają również za wskazane, jeżeli ich przyjaciółka, czy krewna przyznaie się przy nich do lat dwudziestu pięciu — chrząknąć przy tem tak znacząco i wyraźnie, że wszyscy obecni spoglądają po sobie porozumiewawczo i dodają do wymienionej cyfry dziesięć lat z ogonkiem.

Bywają serdeczne przyjaciółki, których wylane uściski zawsze ścierają cały puder z nosa ofiary ich tkliwości, gniotą koronkowy kołnierzyk i niezawodnie bakierują najbardziej twarzowy kapelusze. Dużo jest pań domu, które w napadzie niepohamowanej gościnności podstępnie i przemocą zdzierają kapelusze z głów zaproszonych pań i zostawiają swoje ofiary na środku salonu, w stanie nieprawdopodobnego potargania. Jeżeli chodzi o kuzynki lub dobre znajome, panowie również chętnie biorą udział w podobnej zabawie, nie podejrzewając złośliwych intencji tej, która ją rozpoczęła. A tuż obok, w sąsiednim pokoju, jest śliczne, potrójne lustro, przed którym panie mogłyby spokojnie i wygodnie pozdejmować kapelusze i poprawić włosy. Ale o tej możliwości świadomie zdaje się zapominać ślicznie zaondulowana gospodyni.

Bardzo wiele podświadomych okrucieństw popełniają osoby z towarzystwa w stosunku do ludzi, których, przeważnie najnieśluszej, uważają za należących do towarzystwa... jedną tylko nogą. Niejedna z pań sądzi, iż wyświadcza wielki zaszczyt wirtuozowi, który wziął udział w dobroczynnym koncercie, aktorowi, który wyreżyserował przedstawienie amatorskie, malarzowi, który ją portretował, zapraszając

ich do siebie. Niemal nigdy taka pani nie tręszczy się o to, czy ci panowie są żonaci, a jeżeli nawet, wypadkiem, wie z całą pewnością, że tak — celowo, w zaproszeniach swoich pomija żony, „bo to może być, Bóg wie, kto“.

Tak czyniąc, lwice salonów nie zastanawiają się nigdy nad rozciągłością krzywdy, jaką wyrządzają swoim nieznanym siostrzynom.

Wprawdzie raut w burżuazyjnym, czy nawet arystokratycznym salonie częściej bywa nudną piłą, niż przyjemną zabawą, i zaszczycony zaproszeniem małżonek nieraz klnie, wkładając frak i lakierki, i zapewnia, że gdyby nie nadzieja dalszych obstalunków, niktby go na podobne błazeństwa i nudziarstwa nie namówił... ale zostawiona w domu ma w tej sprawie inny, zupełnie osobisty kąt widzenia. Zabawy, w których nie może wziąć udziału, wydają się jej niedostępnym, pełnym pojęt i pokus rajem. Nieznajome kobiety z innego, obcego świata — groźnemi wampirami, czyhającymi na cudze szczęście małżeńskie.

A jeżeli mąż zaprzyjaźni się i zadomowi w takim salonie, jeżeli zacznie bywać w szeregu innych, zaprzyjaźnionych z pierwszym, domów, to najniwieńniejsza w świecie przyjaźń malarza z modelem, artysty z gronem admiratorów, stanie się dla jego żony źródłem nieustannych upokorzeń i nieprzerwanej udręki. Nieraz, bez żadnej rozsądnej przyczyny, zostaje odsunięta na bok, wymazana z męzowskiego wypowiedzenia i rozrywki, staje się niejako uosobieniem trywjalnej powszedniości, pełnej trosk i kłopotów. Ponieważ nie wszystkie kobiety umieją cierpieć milcząc i „kochać nieprzyjaciół swoje“ — nieraz z ust takiej niezapraszonej żony padają słowa pełne goryczy i — obiektywnie biorąc — niesprawiedliwe, o jej bezwiednych dręczycielkach.

A mąż, porównując uśmiechniętą, salonową uprzejmość obcych dam, z przykrem i nierównym usposobieniem stale rozdrażnionej żony, mimowoli wysnuwa wnioski na jej niekorzyść. Mażeńskie nieporozumienia nawarstwiają się, wytwarzając atmosferę nieustannej irytacji i niezadowolenia, tam, gdzie dotąd panowały pogoda i spokój.

Wszystkiemu winien jest miły pierwszy liścik baronowej Beby, czy mecenasowej Kity, zapraszającej „drogiego mistrza“ na szklaneczkę cocktail'u, nie wspominając o żonie.

Myliliby się jednak ten, coby na podstawie powyższego chciał sadzić, że bezmyślne okrucieństwa stanowią specjalność płci pięknej. Panowie popełniają ich o wiele więcej i o wiele brutalniejszych. Jako najbardziej typową i rozpowszechnioną przytoczę tylko sadystyczną przyjemność, jaką koledzy znajdują w wyciąganiu młodych mężów i narzeczonych na eskapady restauracyjne i dalsze. Urządzenie tak zwanych „kawalerskich wieczorów“ w wigilję ślubu tak dalece się już utarło, że biorą w nich udział i panowie z rodziny panny młodej. Celem zabawy jest najgruntowniejsze wstawienie jutrzejszego młodożeńca i zawiezenie go w takim stanie do jednego z lokali, niesłusznie korzystających z miana „wesółych“. Nazajutrz — w najlepszym razie — pan młody jest osowiały i najuroczystszy dzień swego żywota ma zatruty „kociokwikiem“. W najgorszym... o tych najgorszych skutkach dużyby mógł powiedzieć lekarz domowy, gdyby go nie wiązała zawodowa przysięga.

Jadwiga Kieronarska



MIŁOŚĆ DO PIŁKI

Czy nigdy nie kochaliście tej okrągłej istoty, która skacze i toczy się, i leci hen daleko w górę? Każdy, napewno każdy przeżył w swym życiu choć jedną miłość do piłki. Może była to duża, lekka, malowana na różne kolory — piłka z dziecinnego pokoju, piłka, której obraz żyje w naszych wspomnieniach obok porcelanowej lalki i pluszowego niedźwiadka.

Może była to mała, lekka piłka gumowa, którą można było bawić się w klasy, piłka, która potem nieuchronnie się przedziurawiała, i długo, długo w szafie z zabawkami przewracał się ten smutny szczątek, którego żal było wyrzucać, bo przecież kiedyś był to przedmiot ukochania.

I wtedy może zjawiał się cel najgorętszych dziecięcych pożądań — lanka. Mała, czarna, twarda, jak kamień — taka sama, jaką mają chłopcy. To nic, że czasami na ramionach zjawiały się siniaki, albo guz wyskakiwał na czole, — gumowa lanka była zawsze najukochańsza.

Ale może, gdy lanka już się „gdzieś zapodziała“ (bo lanki nie „umierają“, jak te dziecinnie lekkie piłki, nikt nigdy nie widział „trupa“ lanki — ale zato lanki wędrują gdzieś w świat), może wtedy zjawiała się ostatnia miłość — piłka skórzana. Taka prawie, jak ta, którą kopią chłopcy, tylko trochę większa i lżejsza — tak lekko szła ponad siatkę, tak pysznie leciała wdal, rzucona silnym ramieniem!...

Jedną taką miłość przeżyło się napewno. Cóż, kiedy zostało z niej tylko wspomnienie! Piłka, wierna przyjaciółka wszystkich wolnych chwil, pocieszycielka w chwilach nieszczęść (dwójka z niemieckiego!) ta piłka została dawno odtrącona.

Biedna, wzgardzona przyjaciółka!

Ale też czasem, kiedy dziś przechodzi się kolo gromadki dzieci, grających w zbijaka, czy w palanta, czasem coś tam ścisza się w sercu i ma się ochotę schwytać piłkę z rąk malców i zawołać:

— Czekaście, ja wam pokażę, jak się rzuca!

Ale braknie odwagi, żeby to zrobić, bo w ostatniej chwili zjawia się zwątpienie: — a może jabym już nie potrafiła rzucić?...

Pamiętam jeden obrazek — nie zapomnę go nigdy. Dziewięcioletni może chłopczyk jest na spacerze z matką.

— Mamusiu, łap, będziemy rzucali piłkę do siebie.

Matka, młoda, elegancka kobieta, dość niechętnie wzięła piłkę z jego rąk i rzuciła.

— Mamusiu, jak ty niezgrabnie rzucasz! Przecież tak trzeba rzucać!

I malec, którego nikt zapewne nie uczył, wykonał bardzo zręczny rzut. Matce nie udało się złapać tej piłki.

— Mamusiu, cóż ty nawet złapać piłki nie potrafisz? Z tatusem lepiej się bawić, niż z toba.

Patrzałam ze współczuciem na dziecko, które nie miało się z kim bawić, ale jeszcze bardziej współczułam matce.

Przecież i ona napewno kiedyś kochała piłkę, i ona bawiła się nią napewno kiedyś tak, jak jej syn. A dziś? Dziś piłka wymyka się jej z rąk, ośmiesza ją przed własnym dzieckiem. Mści się zdradzona kochanka...

Niestety, wychowanie lat dawnych zmierzało do tego, żeby zabić w nas całą radość życia i całą zdolność ruchu. Rozwijano w nas pamięć wzrokową i słuchową (ach, te wierszyki!), a nie ćwiczone pamięci ru-

chowej. A przecież ruch jest tak samo funkcją ośrodków mózgowych, jak uczenie się opowiadania. Rozwijani jednostronnie, stawaliśmy się degeneratami w dziedzinie ruchu. Zdolności niećwiczone zanikają, to też u większości kobiet dorosłych, wychowanych dawnym systemem, zdolność przyswajania sobie nowych ruchów, koordynacji ruchowej, zanikła prawie zupełnie, lub ograniczyła się tylko do jednostronnego kierunku — do tańca.

Doprawdy trudno o bardziej przykry widok, niż widok dorosłej kobiety, która pierwszy raz zabiera się do gry w piłkę. Z dziecinnych umiejętności, jeżeli zaniechano ich wcześniej, nie zostało ani śladu. Te niezgrabne, nieskoordynowane ruchy, tak niecelowe, a przez to tak śmieszne — oto rezultat zaniedbania tej dziedziny, którą dziś chcemy odrodzić. To samo przy nauce innych sportów: — jakżeż śmiesznie i niezdarne wyglądają z początku osoby, które przez szereg lat nie uprawiały żadnego ruchu!

Sytuację pogarsza jeszcze lęk przed śmiesznością i przeświadczenie, że się pokazanej rzeczy wykonać nie umie.

Ileż widziałam takich wypadków zadraśniętej ambicji, gdy uczestniczka jakiegoś kursu sportowego, po pierwszych paru próbach chciała odstąpić od ćwiczeń. Jeżeli znalazła w sobie dość charakteru, żeby zostać — napewno tego nie żałowała. Rozwinąć zaniedbane zdolności można jeszcze nawet w późnym wieku. Można i należy.

Wróćmy do piłki. Ona daje nam możliwość wszechstronnego rozwinięcia zdolności ruchowej. Gdy nauczymy się grać w piłkę, wiele innych sportów pójdzie z łatwością. A przytem piłkę można uprawiać przez cały rok, w każdych niemal warunkach.

Kto kocha piłkę żarliwością swego dawnego, dziecinnego uczucia, ten znajdzie zawsze możliwość zaspokojenia tej swojej miłości.

Pamiętam, jak w akademickich czasach schoziliśmy się o 7-jej rano na boisko, aby grać w koszykówkę. Dzień w dzień o siódmej rano, bo wykłady zaczynały się o 8-jej — to brzmi prawie, jak bohaterstwo.

Pamiętam też niejedną wycieczkę — ostatnia miała miejsce zaledwie pół roku temu — kiedy, zmęczeni długim marszem, zrzucaliśmy ciężkie plecaki na dłuższy postój, a zaledwie po kwadransie już połowa napewno grała w piłkę.

Ale nietylko boisko, czy otwarta przestrzeń umożliwia grę w piłkę. Dla miłośnika (może fanatyka) niema przeszkód nigdzie. Pamiętam, jak w szkole, w nauczycielskim pokoju, podbijaliśmy z młodemi koleżankami i kolegami lekką, balonową piłkę, a starsza generacja nauczycielstwa spoglądała na nas z nieukrywanym zgorzaniem. A przecież to było cudowne spędzenie przerw między temi trzykwadransowymi lekcjami, które nawet dla najbardziej zapalonego nauczyciela są czasem dość nudną pracą.

Przejdźmy do rzeczy konkretnych: — jak naprawdę zrealizować dziś to pragnienie powrotu do starego uczucia? Na wiosnę pomówimy obszernie o grach sportowych, teraz ograniczymy się do pokoju. Piłka ciężka jest, niestety, nieprzyjacielem niektórych sprzętów pokojowych, musimy więc szukać innych.

Z dużych piłek najlepsza będzie t. zw. balonowa, — piłka z cieniutkiej gumy, która doskonale skacze, a żadnej szybie, ani wazonom nie uczyni najmniejszej krzywdy. Z małych nadaje się do tego t. zw. „mousse“ — piłka, zrobiona z masy gumowej, podobnej do tej, jakiej używają na gąbki. Bywają

one różnej wielkości — najlepsza jest taka, która da się z łatwością schwycić w jedną rękę. I ta również nie uczyni szkody w mieszkaniu, choć z obowiązku prawdomówności muszę przyznać, że nigdy nie próbowałam, co będzie, gdy tę piłkę rzucę z całej siły prosto w szybę. Zostawiam pole dla eksperymentów, ale dodam, że piłka nieraz „zawadzała“ o szybę okna, nie narażając jej na żaden szwank.

Dużą piłką bawimy się w dwie lub trzy osoby, podbijając ją dłońmi. Będzie to doskonała zaprawa do gry w siatkówkę. Trzeba przyzwyczajać się od początku do tego, aby odbijać dwiema rękami, gdyż odbijanie jedną ręką w siatkówce jest u osób niewprawnych bardzo zawodne.

Piłkę podbijamy zarówno od dołu („manibus supinatis“), t. zn. dłonie ustawione są tak, jakbyśmy wykonywali ruch zagarniający. Przy silniejszym zgięciu łokci możemy tym ruchem przerzucić piłkę w tył poza głowę. Częstsze będzie jednak podbijanie piłki „z góry“, to znaczy ruchem odpychającym. W każdym razie nie wolno nam dopuścić do tego, żeby piłka upadła.

Jeżeli grają dwie osoby, ustawiają się pod przeciwległymi ścianami; jeżeli trzy — grają w trójkąt. Gdy mamy większą liczbę osób, wtedy albo tworzymy z nich dwie partje, stojące naprzeciwko, albo też stajemy w kółko i odbijamy piłkę poprzez koło tak, aby jej nie dać upaść. Może też jedna osoba stanąć w kole i odbijać piłkę kolejno do każdego; można wreszcie, gdy koło jest duże, podawać sobie (odbijając) piłkę po obwodzie koła. W żadnej z tych gier niewolno piłki chwycić w ręce, tylko trzeba ją odbijać.

Indywidualna twórczość napewno urozmaici tę zabawę szeregiem nowych gier i prawideł, które muszą być ściśle dostosowane do warunków lokalnych. Jeżeli np. jest trochę miejsca na podłodze (w owej kancelarii graliśmy przez stół), to można gre urozmaicić w ten sposób, że wolno piłkę odbić o podłogę pewną określoną ilość razy, np. 2 lub 3. Nie będzie to już wtedy przygotowaniem do siatkówki, ale ta umiejętność przyda się w innych grach.

W ten właśnie sposób możemy bawić się małą piłeczką, którą łatwiej jest odbijać od ziemi, niż z powietrza. Małą piłkę możemy też chwycić w ręce, obie lub jedną. Jedną ręką uczymy się chwytów od dołu i z góry.

To, co opisałam, jest właściwie nie grą, a zabawą, gdyż chodziło raczej o pewną sumę przyjemnych ruchów, niż o jakieś liczenie wygranych i przegranych piłek.

Grą w ścisłym tego słowa znaczeniu, będzie inna rozrywka pokojowa — ping-pong. Jest to niezwykle przyjemna gra, do której można się zupełnie roznamiętnić.

Wymaga ona nabycia rakietek ping-pongowych i odpowiedniego stołu. Często nadaje się do tego staroświecki, podłużny stół jadalny, jeżeli jednak obstalujemy już specjalny stół, to należy uwzględnić przepisowe wymiary: — wysokość, szerokość, długość.

Prosty taki stół z sosnowego drzewa (deska i dwa krzyżaki) jest niekosztowny i z łatwością daje się rozstawić i złożyć. Można też zrobić go z dwóch desek, szepiając zawiasami w środku; wtedy już nie będzie kłopotu z chowaniem takich desek np. za szafę.

A wszystko to pozwoli nam na wskrzeszenie jednego z pierwszych dziecinnych uczuć — miłości do piłki.

W. Prażmowska.

NIECO O NAWOŻENIU

(Dokończenie)

Fosfor ma niemniej ważne znaczenie w życiu roślin, stanowi bowiem materiał, którego roślina potrzebuje do tworzenia pączków, kwiatów i nasion. Zauważono, że rośliny, zasilane nawozami fosforowymi, obficie kwitną, lepiej zawiązują owoce, które też wcześniej dojrzewają i mają lepszy smak. Wobec tego, że grunty piaszczyste są zasobniejsze w fosfor, niż ziemie ciężkie, gliniaste, otrzymuje się z nich owoce i jarzyny trwalsze i słodsze. Wyborne wyniki, osiągane przy nawożeniu pomiotem kurzym i gołębim, należy przypisać w znacznej mierze dużej ilości zawartego w nich kwasu fosforowego: 1 do 1½%, więc tyle, ile zawiera czysta gnojówka. W mączce kostnej zawartość kwasu fosforowego wynosi od 20 do 30%, w superfosfacie 10 do 17% (w podwójnym do 40%), w tomasówce 12 do 22%. Popiół drzewny liściasty zawiera około 3% kwasu fosforowego i 10% potasu, z drzew iglastych 2% kwasu f. i 6% potasu, a z węgla kamiennego lub z brykietów służy jedynie do spulchniania ziemi zbyt spoistej, bowiem wykazuje zaledwo 0,2% fosforu i tyleż potasu.

Próchnica powstaje w ziemi wskutek gnicia cząstek organicznych, zwierzęcych lub roślinnych. Dzięki pulchności i własności pochłaniania ciepła i wody, wywiera ona wpływ dodatni na rozwój roślin. Domieszka próchnicy zatem spulchnia rolę, zapobiega zlewaniu się jej na powierzchnię, czyli powstawaniu nieprzenikliwej dla wody i powietrza skorupy, sprzyjającej podsiąkaniu wody z głębi, i dzięki temu obfitość próchnicy jest niezbędna przy uprawie delikatnych i wrażliwych roślin ogrodowych.

Każdy posiadacz ogrodu powinien pamiętać, że wszystkie odpadki pochodzenia zwierzęcego lub roślinnego, więc zgrabki, zwiędłe liście, pióra, kości, trociny, wióry, a nawet gąsienice i chrząszcze, stanowią cenny materiał, z którego powstaje próchnica. Pod względem wzbogacania w próchnicę stoi więc na pierwszym miejscu mierzwa, czyli nawóz stajenny i obornik, prześcielany nawóz owczy lub świński, pomiot ptasi, przesypany torfem lub trocinami, i nawóz kłoczny, zasypywany miałem torfowym, albo trocinami. Ten ostatni jednak, użyty obficie, zwłaszcza w stanie świeżym, na ziemi lekkiej, wywołuje zbyt bujny wzrost roślin, które wskutek tego stają się wątłe i w niesprzyjających warunkach giną. Obfite zasilanie nawozem kłocznym powinno być wykonywane w jesieni, albo w zimie na zmarzniętą skibę, a najbezpieczniej używać go do zasilania kompostu, w którym ulegnie on rozkładowi, wzbogaci go, a nie zaszkodzi nawet najdelikatniejszym roślinom i nie udzieli im swego nie milego zapachu.

Wreszcie doniosłe znaczenie nawozowe posiadają rośliny, siane w tym celu, żeby je w pełni rozwoju przyorać lub przykopać. Rozłożą się one w ziemi i przekażą glebie wszystkie zawarte w nich składniki, ponadto zaś wzbogacają ją w próchnicę. Do tego celu przedewszystkiem nadają się rośliny motylkowe, czyli strączkowe, ponieważ dzięki współżyciu z bakteriami nitryfikacyjnymi, posiadają one zdolność wchłaniania z powietrza azotu i gromadzenia go w swych tkankach. Więc łubin, seradela, wyka, groch, peluska i t. p. stanowią najcenniejsze „nawozy zielone”. Łubin tworzy grube, wrzecionowate korzenie, które zapuszcza głęboko w podglebie, tam one ulegają rozkładowi i dzięki temu wyborne pogłębiają warstwę rodzajną.

Naturalnie, jako nawozy zielone mogą być używane i inne rośliny, szybko rosnące i wytwarzające dużą ilość masy zielonej, jak np. tatarka, gorczyca i inne; ale te nie wprowadzają do ziemi takich ilości azotu, jakie oddają jej rośliny strączkowe.

Materje organiczne rozkładają się w ziemi tylko przy obfitym dostępie powietrza, wilgoci i ciepła, gdyż tylko w tych warunkach mogą się rozwijać pożyteczne drobnoustroje, sprzyjające pożądanemu przebiegowi zamieniania się produktów roślinnych lub zwierzęcych w słodką, pożyteczną próchnicę. Stąd wskazówka, że nawozy trzeba przykrywać cienką warstwą ziemi, czyli przyorywać, albo przykopywać płytko. Muszą też one dostać się do ziemi koniecznie przed wysianiem, albo przed wysadzeniem roślin, żeby miały czas się rozłożyć i zamienić w pożywienie, dostępne dla korzeni roślin. Nawozy, zakopane głęboko, zmurzeją na bezwartościowe próchno, i próżno łudzić się będzie ta hodowczyni, która nadzieje na dobre plony oprze na resztkach przeszłorocznej mierzwy, znalezionej przy głębokim kopaniu ziemi. Tylko ten nawóz organiczny spełni swe zadanie, który się doszczętnie rozłoży w możliwie krótkim przeciągu czasu.

Na metr kw. ziemi ogrodowej należy zużywać przeciętnie 4 kg mierzwy, nie znaczy to jednak, żeby corocznie nawozić jednakowo, i jednakowo pod wszystkie rośliny, gdyż jedne są „żarłoczne” i potrzebują świeżo mierzwionej roli, inne mają daleko skromniejsze wymagania. Ale rozważanie tych właściwości musimy odłożyć na inny raz, gdy będziemy mówili o płodozmianie i wynikającym z niego zmianowaniu płodów, co stanowi temat ciekawy, ale obszerny.

Kto posiada dostatek mierzwy i może swobodnie wybierać, powinien dostosowywać gatunek nawozu organicznego do posiadanej ziemi i do celów, które zamierza osiągnąć. Więc znów za daleko zaprowadziłoby nas rozważanie właściwości poszczególnych gatunków gnoju; powiemy więc narazie bez bliższych wyjaśnień, że na ziemi lekkiej, ciepłej, przepuszczalnej, odpowiedniejszy jest obornik; na ziemi zimnej, zwężłej, spoistej, mokrej, lepszy jest nawóz stajenny lub owczy. Na wszystkie ziemie można dawać gnój mieszany od różnego rodzaju inwentarza; a w każdej porze roku, wszystkie ziemie, w dowolnej ilości i pod wszystkie rośliny można bez żadnej obawy doprawiać nawozem organicznym przetrawionym, więc np. wydobyłym ze skrzyń inspektowych, albo specjalnie w tym celu złożonym na kupy i starannie okrytym ze wszystkich stron grubym pokładem ziemi, żeby zapobiec dostępowi powietrza i „paleniu się” gnoju, połączonego z gwałtownym wydzieleniem się amonjaku, który w roli przekształca się w cenny azot.

Jeżeli gnoju nie wystarcza, należy korzystać z kompostu, z nawozów zielonych, wreszcie ze stosowania czarnego ugoru. Dobrych wyników z używania nawozów pomocniczych możemy się spodziewać tylko na ziemiach, znajdujących się w dobrej kulturze, zasobnych w próchnicę. Zanim jednak zdecydujemy się wydać żywy grosz na kupno owych proszków, radzę usilnie przeczytać choćby krótki, lecz treściwy podręcznik o stosowaniu nawozów pomocniczych, bo podane w sposób niewłaściwy, zawiadają pokładane w nich nadzieje, zniechęcają do dalszych prób i wywołują straty. Natomiast trafnie zastosowanymi dawkami dobrze dobranych składników można bardzo małym kosztem podnieść wydatnie plony, lub pobudzić hodowane rośliny do intensywnego rozwoju w pożądanym kierunku.

Stan. Schönfeld.

WIOSENNA PIELEGNACJA ROŚLIN DONICZKOWYCH

Nadchodzi chwila, kiedy rośliny budzą się z półsnu zimowego, rozrastają się bujnie, zaczynają wytwarzać nowe pędy, liście i pąki kwiatowe — żyją intensywnym życiem wiosennym, szykując się do pełni letniego rozwoju.

Ten okres odradzania nie może być niedoceniony i zaniedbany przez zamięłwanego hodowcę. Musi on zrozumieć potrzeby roślin, które pielęgnuje, musi otoczyć je umiętną opieką, stworzyć im odpowiednie warunki. Na to, aby sprostać zadaniu, trzeba jednak wiedzieć, na czym taka racjonalna pielęgnacja polega.

Pierwszą wiosenną czynnością będzie oczyszczenie roślin z zanikających liści, przyschniętych gałązek i przesadzenie tych, które wegetują w ziemi już wyczerpanej; rozrosły się tak bujnie, że nie wystarcza im dawne podłoże, lub powolnie, jednak zdecydowanie, zanikają z dnia na dzień w ziemi zakwasniającej, jałowej, czy zaszuszonej na bryłę.

Przystępując do przesadzania roślin, przede wszystkim musimy pomyśleć o doniczkach. Najbardziej wskazane byłoby użycie doniczek nowych, które trzeba namoczyć w czystej wodzie na kilka godzin, poczem obsuszyć na otwartym powietrzu. Jeżeli z jakichkolwiek przyczyn posługujemy się doniczkami już używanymi, trzeba postarać się o doprowadzenie ich do wzorowej czystości, nie tylko dlatego, aby uwolnić je od ewentualnego zakażenia (często się zdarza, że zdrowa roślina, przesadzona do doniczki, w której wegetowała roślina chora, pada ofiarą naszej nieostrożności i marnieje, lub zaczyna chorować), ale i dlatego, aby doskonale oczyszczone ścianki odzyskały w pełni sprawność przepuszczania powietrza.

Doniczki, o jakich mowa, trzeba namoczyć w wodzie, a po kilku godzinach zmienić wodę i wyszorować je ostrą szczotką ryżową, opłókać i obsuszyć.

Wielkość doniczek jest ściśle zależna od upodobań i stopnia rozwoju rośliny. W razie, gdyby okazała się konieczność zastąpienia dawnej doniczki obszerniejszą, musi ona być większa od poprzedniej zaledwie o jeden, a najwyżej dwa numery. Prawdłowo dobraną doniczką będzie ta, która pomieści spulchnioną bryłę ziemi, obiegającą korzenie rośliny, i pozwoli na osypanie jej od spodu, z boków i z wierzchu co najmniej na 1 cm. świeżą ziemią.

Zarówno ziemia, w której wegetują nasze rośliny, jak i ta, którą użyjemy przy przesadzaniu, powinna być umiarkowanie wilgotna. Ziemię w doniczkach podlejemy zatem w przeddzień przesadzania, ziemię świeżą skropimy wodą i przemięszamy dokładnie rękami.

Przystępując do przesadzania roślin, trzeba przygotować wszystkie potrzebne doniczki, dając na dno każdej skorupkę i parę kawałków węgla drzewnego. Skorupka służy, jako dren, chroni przed zamuleniem otworu, który znajduje się w dnie doniczki; węgiel zaś działa dezynfekcyjnie i zapobiega zakwaszaniu ziemi.

Na tak przygotowane podłoże sypimy warstwę świeżej ziemi na 1 cm. grubo, wyjmujemy roślinę z doniczki, spulchniamy bryłę, przeprowadzając pomiędzy zbitymi korzeniami delikatnie zastrugane drewno, ujmujemy roślinę za łodygę bezpośrednio ponad bryłą i ustawiamy pośrodku doniczki.

Teraz przychodzi kolej na obsypanie starej bryły,

po bokach, świeżą ziemią, którą uciskamy kopystką drewnianą; gdy bryła jest już dosyć silnie osadzona, pokrywamy ją po wierzchu (znów mniej więcej na 1 cm. grubo) świeżą ziemią i uciskamy ziemię palcami. Przesadzone rośliny podlewamy i ustawiamy w pełnym świetle, chroniąc je przez kilka dni przed bezpośrednią, ostrą, operacją słoneczną, która nie jest wskazana w okresie aklimatyzowania. Dawkę wody zwiększamy w miarę rozwoju wegetacji, wytwarzania pąków kwiatowych i samego kwitnienia, w którym to okresie roślina potrzebuje najwięcej wilgoci.

A teraz przejdźmy do sprawy pierwszorzędnej wagi, mianowicie do samej ziemi, jakiej użyjemy przy przesadzaniu roślin i do odpowiedniego jej doprowadzenia.

Pierwszym warunkiem pomyślnej hodowli jest ziemia pożywna, przepuszczalna, dostosowana do wymagań rośliny.

Kto, hodując rośliny doniczkowe, ma do rozporządzenia różne gatunki ziemi, jak: liściową, wrzosową, kompostową, inspektową, ogrodową i polną — może zadowolić wymagania poszczególnych roślin. Jest to jednak jedynie przywilej osób, mieszkających na wsi i prowadzących fachową gospodarkę ogrodową. Mieszkańcy miast muszą zadowolnić się ziemią, kupowaną w zakładach ogrodniczych, lub w miejskich, czy podmiejskich ogrodach handlowych, a zatem nie są w stanie prowadzić tak drobiazgowej selekcji gatunków ziemi; dlatego też postaramy się dostarczyć roślinom naszym podłoża przepuszczalnego, pulchnego i pożywne, przechodząc do porządku dziennego ponad drobiazgowymi wskazaniami.

Ziemią, o jakiej mowa, będzie przede wszystkim dobra ziemia inspektowa z domieszką kompostowej. W okresie wiosennym ziemię doniczkową można dostać w każdym zakładzie ogrodniczym. Jeżeli mamy zamiar użyć jej do przesadzania roślin wybitnie grymaśnych i wrażliwych, trzeba nadmienić przy kupnie, dla jakiej rośliny ją przeznaczamy.

Idealną domieszką do każdej ziemi doniczkowej jest sproszkowany, węgiel drzewny, nawóz wapienny i torf.

Znaczenie tych domieszek jest następujące:

Węgiel drzewny nie służy roślinie za dodatkowe pożywienie, jednakże przewietrza ziemię, ogrzewa ją, usuwa szkodliwe gazy i dezynfekuje. Stosuje się węgiel drzewny sproszkowany w ilości 1/15 litra proszku węglowego na 1 litr ziemi. Dodawanie węgla sproszkowanego staje się zbyt ciężkie z chwilą, gdy dajemy na dno doniczki węgiel drzewny w kawałkach, jak o tem wyżej wspomniałam.

Wapno jest zarówno pożywką, jak i środkiem pobudzającym wegetację. Roślina, wzrastająca w ziemi prawidłowo wapnowanej, odznacza się jędrnością, zdrowiem i bujnym wzrostem. Przytem wapno zapobiega pladze robactwa i kwaśnieniu ziemi. Wapno dodajemy do ziemi na dłuższy czas przed użyciem jej do wypełnienia doniczek, albo też w chwili sadzenia roślin, czy przesadzania, ale wówczas w umiarkowanych ilościach: 1/3 litra mielonego wapna na 15 litrów ziemi. Używać należy tak zwany wapień (nawóz wapienny), który nabyć można w składach nasion i narzędzi ogrodniczych; ziemi, przeznaczonej pod rośliny z grupy wrzosowatych, wapnować nie należy.

Torfu używamy, jako domieszki do ziemi ciężkiej, spulchniając ją w ten sposób i nadając jej cechy pierwszorzędnej ziemi doniczkowej. Stosuje się go w ilości: 1 litr sproszkowanego torfu, na 3 litry ziemi doniczkowej, wystrzegając się torfów kwaśnych.

Dodając do ziemi torf w dawce powyżej wska-

zanej, możemy z łatwością każdą pożywną ziemię zamienić w wysokowartościową ziemię doniczkową, odpowiednią do hodowli najdelikatniejszych roślin.

Ziemia, wymieszana z miałem torfowym, zastępuje całkowicie ziemię wrzosową; hodujemy w niej przede wszystkim: azalje, pierwiosnki, fiołki alpejskie.

Najidealniejszym użyźnieniem ziemi doniczkowej jest dodanie do niej krowieńca wysuszonego i utartego na proszek, albo też umieszczonego w suchych, niewielkich bryłkach na dnie doniczki. Z chwilą, gdy korzonki wejdą w kontakt z nawozem, vegetacja zyskuje na sile, roślina szybko rośnie, nabiera pięknej barwy i wytwarza zdrowe, doskonale rozwinięte pąki kwiatowe.

Zdobycie krowieńca w mieście nie jest rzeczą ani łatwą, ani miłą, trudno bowiem choćby najbardziej zamiłowanemu hodowcy zdecydować się na przewożenie go ze wsi, lub z obór podmiejskich; pomyśleć trzeba zatem o zastąpieniu go tak zwanymi nawozami pomocniczymi, które choć nie dorównają nigdy krowieńcowi, wywrą jednak dodatni wpływ na vegetację roślin.

Jedynie odpowiednim czasem do nawożenia jest wiosna i lato, to znaczy okres vegetacyjny. W zimie, kiedy rośliny odpoczywają, nawożenie nie tylko nie jest wskazane, ale nawet szkodliwe.

Zasilać nawozami pomocniczymi (sztucznymi) można jedynie rośliny zupełnie zdrowe, gdyż tylko silnie rosnąca roślina zdoła przerobić je na pożywienie i należycie wykorzystać.

Z roślin, hodowanych w doniczkach, na zasilenie nawozami pomocniczymi reagują dodatnio: palmy, gloksynje, begonje, bluszcz, róże, oleandry, pełargonje, ulanki i wiele innych.

Zasilając nawozami sztucznymi, stosujemy zazwyczaj mieszanki, znajdujące się w handlu w puszkach blaszanych o różnej pojemności. Mieszanki takie są przygotowane na podstawie nawozów, pobudzających wzrost liści, nadających im piękną, żywą barwę, oraz nawozów, które wpływają na sprawne wytwarzanie pąków kwiatowych.

Do takich mieszanek (z pomiędzy których godną polecenia jest Sól Chorzowska do kwiatów) dołączone są zawsze wskazówki, normujące dawki i pouczające o sposobie użycia. Należy ściśle trzymać się tych wskazówek, nie pozwalając sobie na poważne odchylenia, gdyż ręka, zbyt szczerobliwie stosująca nawozy sztuczne, jest dla roślin ręką niszczyciela.

Jeżeli chcemy stosować nawozy poszczególne, nie mieszanki, musimy wiedzieć o tem, że saletra chilijska w zestawieniu z potażem wpływa na rozrost liści; superfosfat z potażem pobudza roślinę do kwitnienia.

Stosujemy wyżej wymienione nawozy w dawkach następujących:

jeden do półtora gr. saletry chilijskiej na litr wody;

dwa do dwóch i pół gr. potażu na litr wody;

dwa do dwóch i pół gr. superfosfatu na litr wody.

Rozczynem tym podlewamy rośliny po zachodzie słońca, trzymając je w umiarkowanej pokojowej temperaturze i nie wystawiając nigdy *w czasie zasilania*, ani *bezpośrednio po niem*, na silną operację słoneczną. Najlepiej jest zasilać w dzień pochmurne.

Rośliny, przesadzone, lub przeniesione z doniczek do skrzynek, zasilamy dopiero z chwilą, kiedy zaaklimatyzują się na nowym podłożu i zaczną prawidłowo vegetować. Zasilać przede wszystkim w okresie wytwarzania pąków kwiatowych i w okresie kwitnienia.

Wanda Dobrzańska.

„WYKWINTNE“ PODAWANIE

Pod jednym tylko względem nie się w gastronomii nie zmienia. Ludzie przez długie wieki, bodaj czy nie od początku świata, lubili jeść smacznie, i kosztowało to ich dużo — że już wspomnimy chociażby o rajskim jabłku, którego smak skusił naszego praojca Adama, a to jego łakomstwo było bezpośrednią przyczyną utraty wszelkich rajskich rozkoszy.

Tylko pojęcie o tem, co jest smaczne, stale się zmieniało, no i zmienia w dalszym ciągu, o czem się może przekonać każdy, czyja pamięć sięga bodaj jakichś dwudziestu pięciu lat wstecz.

Z historii starożytnej, gdzie jest mowa o ucztach cesarzy rzymskich, widzimy, że za najsmaczniejsze uważano rzeczy najrzadsze, a zatem najkosztowniej — bo chyba tym dwu zaletom można przypisać to, że tak wysoko ceniono potrawę ze słowiczych jęczmyków, lub to, że Kleopatra pijała wino z rozpuszczonymi w niem perłami. W każdym razie znać w tem poszukiwanie rzadkości, dążenie do wykwintu.

W wiekach średnich jakoś ta dążność do poszukiwania rzeczy rzadkich ginie i w ucztach przeważa ilość nad jakością, jeżeli nie brać pod uwagę takich cudactw, jak owa oliwka pieczona, którą się przyrzadzało w sposób następujący: oliwkę wkładano w przepiórkę, przepiórkę w kuropatwę, kuropatwę w zajaca, zajaca w sarnę, sarnę w jelenia, poczem wszystko pieczone na rożnie. A gdy się upiekło, honorowemu gościowi podawano tylko oliwkę. Ze względu na ówczesne apetyty i przyzwyczajenie do spożywania dań mięsnych, mam nadzieję że była ona jedną z wielu innych potraw w tym samym posiłku — o tem jednak ten przepis z czternastego wieku milczy zupełnie.

Niesłychany wykwint zapanowuje w kuchni francuskiej w epoce Ludwików. Wprawdzie Ludwik XIV jada raczej dużo, niż smacznie, lecz za czasów Ludwika XV-go i XVI-go liczba dań, ich rozmaitość i nadzwyczajne sposoby podawania dochodzą do nieznanego dotąd zbytku.

Wchodzą w użycie tak zwane „plats montés“ — dania olbrzymie, wysoko spiętrzone, składające się z najróżnorodniejszych artykułów spożywczych, z szeregami skomplikowanych ozdób, w dużej części wcale niejadalnych.

Nadają się one szczególnie do francuskiego sposobu podawania do stołu t. zw. „service à la française“, polegającego na ustawianiu na stole potraw jednej kategorii, stanowiących jakby jedno danie. Służba wprawdzie pomagała brać te potrawy, nakładając je na talerze, lecz ich nie obnosiła. W taki sposób się tłumaczy te olbrzymie jadłospisy obiadów i kolacyj, liczące po kilka lub kilkanaście: „potages“, „entrées“, „relevés“, „rôtis“, „entremets chauds“ i t. p. Tych olbrzymich piramid drobiu i zwierzyny, tych napiętrzonych ozdobami pasztetów, tych drżących, ukwieconych legumin nie byłby w stanie podawać wkoło najsilniejszy olbrzym z pomiędzy licznej służby.

Jako kontrast, obnoszenie półmisków przez służbę, nazywano „service à la russe“, która to nazwa przetrwała do dzisiaj w języku kulinarnym francuskim i jest stosowana przy kolacjach siedzących.

Ta nadzwyczajna ozdobność dań, ta zewnętrzna ich wystawność niezawsze odpowiadała smakowitości ich treści. Przynajmniej przepisy, spotykane w starych francuskich dziełach gastronomicznych — a francuska literatura kucharska jest niesłychanie bogata — jakoś nie bardzo trafiają do przekonania współczesnym smakoszom.



Chronicie swą cerę w dni niepogody!

Gdy marzec zsyła naprzemian wiatr i słotę, zimno i ciepło, wszystkie panie boją się o swą delikatną cerę.

Troska ta jest niepotrzebna!

Krem Elida Co Godzinę
chroni i pielęgnuje cerę nawet
przy najgorszej niepogodzie.



KREM ELIDA CO GODZINĘ

462

Są tysiączne francuskie recepty, niezrównanego smaku, które przetrwały i jeszcze przetrwają stulecia, które zawsze będą stanowiły rozkosz podniebienia smakoszy, które należą do kuchni klasycznej, takiej, której znajomość posiadać powinien każdy kuchmistrz, godny swego zaszczytnego zawodu; lecz są to rozmaite „petits plats soignés“, nic wspólnego z przepechem i wystawą niemające.

Sosy gorące: soubise, poulette, financière, beszamel, i zimne: provençale, tartare, remoulade i t. p. — będą równie dobrze smakowały naszym prawnukom, jak smakowały pradziadkom.

Moda „plats montés“ przetrwała bezmała dwa wieki, ba! i dzisiaj spotykamy czasem jej próbki, szczególnie gdy znajdzie pole do popisu kuchmistrz o aspiracjach nietylko gastronomicznych, co artystycznych.

Parę lat temu, w czasie uroczystości otwarcia nowego cechu kuchmistrzów, oglądałam, no i próbowałam wyroby różnych znakomitości. Wszelkie rodzaje sztuki złożyły się na udekorowanie olbrzymich półmisków: malarstwo, architektura, rzeźba i kwaciarstwo; jeśli brakło muzyki, to tylko chyba dlatego, że potrawy, nawet najpiękniejsze, są jednak zawsze tylko „nature morte“ i, jako takie — nieme.

Był tam na szczycie piramidy z drobiu i zwierzyzny wóz z beczką wina i jadącym na niej Bachusem. Na innej, również wysokiej piramidzie, znajdowała się naturalnej wielkości głowa jednego z największych

mężów stanu, bardzo podobna, wyrzeźbiona z olbrzymiej — brukwi. Pozostawiam gustowi czytelniczek sąd o tem, czy tego rodzaju wyczyny artystyczne były odpowiednie — bo co do smaku, to wszystko było, chcąc najgrzeczniej określić — banalne.

W nieco mniejszej mierze takiemu przesadzonemu sposobowi podawania hołdowano i na przyjęciach w domach prywatnych. Drób, ryby, połędwice, układano jaknajwyżej, na różnych podstawach z chleba, jarzyn, ryżu i t. p.; przybierano jaknajbardziej, nieraz zupełnie niejadalnymi dodatkami.

Wszyscy znamy lososie i sandacze, najeżone nietylko stojącymi skrzelami, lecz i szpadkami z nanizanymi rozmaitemi surowymi jarzynkami i jaskrawymi galaretkami, obłożone różami z surowej marchwi i buraków, różami, zaopatrzonemi w zielone, płócienne liście. Znamy ozdobione papierowemi pióropuszcami indyki i combry sarnie, kwiatami i maczkami z krochmalu ciasta i leguminy.

I nagle wszystko to się zmieniło. Jakość przełożono nad ilość, wygodę jedzącego nad wspaniałość jedzonego.

Za wyjątkiem paru sztuk specjalnie dużych, które służą za ozdobę stołu na wykwiśniętym przyjęciu, wszystkie półmiski ubiera się na płasko, przy czem usuwa się ze zwierzyzny i drobiu kości, a z ryby — ości.

Do przybrania używa się wyłącznie artykułów spożywczych, i to takich, które powinny podnieść smak dania, lub je uzupełnić. Zamiast dawnych bu-

Pamiętaj!!!

że od 10 marca b. r. rozpoczynają się ciągnięcia V-ej klasy 22-ej Polskiej Państwowej Loterii Klasowej i trwać będą do 18 kwietnia b. r.

Wygrane:

400.000

300.000

200.000

100.000

i t. d. 470

kietów kwiatów — rozmaite masy mięsne, rybne, paszтетowe, rozmaite kombinacje kolorowych majonezów i galaret, zafarbowanych wyłącznie roślinnymi, nieszkodliwymi farbami.

Umiejętność przyrządzenia dań takich jest prawdziwą nauką, sztuką nawet, gdyż smak poszczególnych części składowych nie tylko powinien być jak najlepiej wyzyskany, lecz i dokładnie zharmonizowany.

Sosy zimne, czy gorące powinny jeszcze podnosić rozkosz spożywania tych arcydzieł.

I co za pole do popisu dla gospodyń, dbałych o smaczne i estetyczne przyjęcie gości! Każda znająca się już na kuchni gospodyni powinna przejść kurs uzupełniający u dobrego kucharza. Pierwszą taką próbę podjęło niedawno, zawsze pełne inicjatywy, warszawskie „Koło Studjów Gospodarstwa Domowego“. Jak się próba udała, napiszę kiedy indziej.

Pani Elżbieta.

PRZEPISY GOSPODARSKIE**FORSZMAK ŚLEDZIOWY.**

Dwa duże śledzie białe wymoczyć, obrać z ości, odrzucić ogonki i łebki (skórkę można na nich pozostawić). Przepuścić przez maszynkę. Sześćdziesiąt deka kartofli ugotować w łupinkach, obrać dopóki gorące, przepuścić przez maszynkę specjalną lub maszynkę do mięsa, lecz oddzielnie od śledzi. Sporą cebulę (10 deka) drobno pokrajać i podsmażyć w łyżce masła (6 deka); dodać śledzie, raz przesmażyć razem, na koniec dodać kartofle, wymieszać, już nie smażyć dłużej. Masę tę ostudzić, poprobać, czy dosyć słona, trochę opieprzyć, dodać kwaterek kwaśnej śmietany, wbić dwa żółtka, wyrobić dobrze. Białka ubić na sztywną pianę, zmieszać ze śledziową masą, przełożyć do foremki, wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką. Upiec na rumiano. Podawać można wyrzucając z foremki na półmisek, lub też wraz z foremką. W sosjercie kwaśna śmietana i oddzielnie do tego kartofle z wody, lub też ugotowane, pokrajane w plastry i przysmażone.

SANDACZ W BIAŁEM WINIE.

Sandacza oczyszczonego, jak zwykle, posolić, niech tak poleży godzinę lub więcej. Pokrajać, biorąc do ości naukos, w ładne, na centymetr grube plastry, usuwając z nich wszelkie ości. Głęboki, metalowy lub ogniotrwały półmisek wysmarować grubo świeżym masłem. Układać rybę kawałek obok kawałka lub tak, aby jeden kawałek na drugi nieco zachodził, lecz zawsze napłask. Polać białym winem, aby tylko objęło, wycisnąć sok z całej cytryny, posypać skórką otartą z tej cytryny i trochę popieprzyć białym pieprzem. Rozrzucić po rybce małe kawałki świeżego masła. Przykryć półmisek pokrywą, lub drugim półmiskiem i wstawić w średnio gorący piec na trzy kwadransy. Można też postawić półmisek na blasze (nie na otwartych fajerkach) i dusić wolno pół godziny od chwili zagotowania. Podawać na tym samym półmisku, obłożone cienkimi, ładnie zrumbionymi grzankami z bułki, lub też, bardziej elegancko, francuskimi ciastkami.

MUSZELKI Z RYBY.

Najlepsze z sandacza, jednak bardzo dobre i z ryby morskiej (kabljau). Rybę ugotowaną polupać w kawałki, rozmiaru małego włoskiego orzecha. Na sześćdziesiąt deka takiej, starannie z ości oczyszczonej ryby przygotować gęsty beszamel, z dwóch łyżek mąki, dużej łyżki masła i trzech szklanek mleka; można też włożyć garstkę ostrego, tartego sera — w każdym razie powinien być bardzo gęsty. Osiem muszelek lub sporych tygielków wysmarować masłem, nałożyć rybą, pokryć beszamelem, posypać grubo ostrym tartym serem, zmieszany po połowie z bułeczką. Wstawić na patelni lub na brytfannie w bardzo gorący piec, aby tylko po wierzchu się przyrumieniło. Gdy ser uformuje skorupkę, natychmiast wprost z pieca podawać, aby nie opadło.

KASZKA KARMELOWA.

Pięć szklanek dobrego, tłustego mleka zagotować, wsypać na nie szklanek kaszy manny, dobrze wymieszać, gotować, aż zgęstnieje, przykryć pokrywą, trzymać na brzegu blachy, aby doskonale wybrzękła. Dziesięć deka już oczyszczonych orzechów włoskich lub laskowych utłuc drobno, zmieszać z kaszką, dodać dwadzieścia deka cukru. Pół szklanki cukru zrumienić na patelni na lekki karmel, wlać pół szklanki wody, zagotować. Połowę tego karmelu wlać do ogniotrwałej foremki, ułożyć kaszkę, polać resztą karmelu, wstawić na kwadrans lub dwadzieścia minut do pieca. Podawać w tym samym naczyniu. Można oddzielnie podać zimne mleko lub śmietankę. *Pani Elżbieta.*

DROBNE OGŁOSZENIA

TKALNIA Wyrobów Ludowych Ireny Dudkówny w Krasnymstawie, przy ul. Piłsudskiego Nr. 14, dom p. Łapińskiej, wykonuje na dogodnych warunkach wszelkie zamówienia, a mianowicie wyrabia: kilimy, serwety ze szlakami i do mereżkowania na 6 i 12 osób, portjery, laufry kilimowe i serwetowe. Ceny niskie.

SKROMNYCH wymagań solidna wychowawczyni-nauczycielka z przygotowaniem pedagogicznym, szuka pracy. Oferty „Długoletnie świadectwa“. Wiadomość w Redakcji.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Ausirji, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz“. Rymska 8, tel. 244-18.